№ 47. Warszawa, dnia 19 (7) Listopada 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

COFNIĘTE KREDYTY.

Przypuszczamy, że nawet człowiek tak zimny i tylko praktyczne korzyści swych działań liczący, jak ks. Bismark, znajduje przyjemność w urządzaniu niespodzianek politycznych i w przyglądaniu się z za kulis zdumionej fizyognomii Europy. Są to może jedyne chwile jego zabawy i rozrywki. Taką przyjemność sobie a niespodziankę światu sprawił on, zakazawszy pruskiemu Bankowi państwa przyjmować w zastaw papierów rosyjskich. W lipcu i sierpniu r. b. grzmiała kanonada całkowicie, pół i ćwierćurzędowych pism niemieckich przeciwko tym wartościom, ale chociaż komenda szła niewątpliwie od kanclerza, pozostawał on dla strony ostrzeliwanej niewidzialnym. Walka głośna ustała, rozmaite *Zeitungi* i *Blatty* umilkły, tylko giełda berlińska prowadziła swą niszczącą robotę, obniżając niezmordowanie kredyt Rosyi. Nareszcie spada przez nikogo nieprzewidywana bomba, wzmiankowany zakaz, a spada w tej właśnie chwili, kiedy zapowiedziane zostało przybycie Monarchy ruskiego z odwiedzinami do cesarza Wilhelma. Wszyscy, bo podobno nawet dyplomaci osłupieli. Co znaczy podobny krok w takiej porze? Daremnie *Now. Wremia*, uciszając oburzenie prasy ruskiej, usiłowało przedstawić ten odruch nieprzyjazny w różowem świetle „Według ustawy — powiada ono — niemiecki Bank państwa *nie ma prawa* udzielania pożyczek na papiery zagraniczne, ale kilka lat temu Rosya prosiła o zrobienie *wyjątku* dla jej papierów — i życzenie to zostało spełnione. Była to *grzeczność*, na którą nie można było liczyć tak, jak się liczy na prawo — dano nam przywilej. Przywilej teraz cofnięto, o czem uprzedzono jeszcze latem. Więc i pod tym względem nie można narzekać na zbytnią surowość." Że papiery rosyjskie zyskały jakiś „przywilej," temu przeczyć nie będziemy; ale że on nie polegał na samem otwarciu im wstępu do Banku państwa, że bank ten ma *prawo* udzielać pożyczek na wszelkie pewne papiery zagraniczne, to nie ulega wątpliwości — dowodem kwestya podniesiona w pismach, czy zakazem objęte będą również obligacye węgierskie, rozporządzenie pruskiego ministra sprawiedliwości do sądów w tym przedmiocie, a wreszcie wykaz finansowy instytucyi, o którym pomówimy niżej. *Now. Wremia* zatem stanowczo się myli, mianując ową szykanę „cofniętą grzecznością."

Czemże ona jest?

Bliżej i dalej od ks. Bismarka stojące gazety napomknęły naprzód, że jest to odpowiedź na odmowę przyjmowania w ruskim Banku państwa weksli niemieckich — a gdy zaprzeczono bytu owej mniemanej przyczyny — oświadczyły, że ma to być odwet za dokonane i zamierzone podwyżki ceł ruskich. Rozważywszy jednak sprawę w cyfrach, przekonywamy się, że ekonomicznie kąt odbicia nie wyrównywa kątowi padania. Według ostatniego bowiem wykazu niemiecki Bank państwa posiada w zastawie ogółem tylko 49 milionów marek papierów zagranicznych, a rosyjskie stanowią między nimi część nieznaczną. Nieco więcej ma bank morski (Seehandlung). W każdym razie nie są to tak wielkie sumy, ażeby wypowiedzenie im kredytu wprawiło w kłopot skarb ruski, tem bardziej, że zastawione są (według statutu) w 50% swej nominalnej wartości.

Jest to jasnem i zrozumiałem, że szkody finansowe w tym wypadku sięgają daleko po za troskę o owe kilkadziesiąt milionów, gdyż zamknięcie Banku państwa tak potężnego, jak Niemcy, nietylko spowoduje liczne straty przez nagły spadek kursu rubla (do 177 fenigów!), ale oddziała ujemnie na dalszy kredyt Rosyi. Ale gdyby ks. Bismarkowi wyłącznie o te interesy chodziło, nie wybrałby on takiej chwili, od której jego zamach musiał się odbić krzycząco, uszanowałby pozory, wymagania etykiety dyplomatycznej. Pomijając te względy, dał wyraźnie do zrozumienia, że szach ma również znaczenie polityczne, że Niemcy nie zawierają z sąsiadką żadnego sojuszu, tylko chwilowo uczestniczą w akcie rodzinno-monarszej grzeczności. Już od paru tygodni gazety, nadziewane rozumem w biurze kanclerskiem, oświecały opinię o charakterze spotkania dwu Cesarzów, odmawiając mu pobudek i skutków politycznych, na co prasa ruska odpowiedziała naturalnem oburzeniem. Teraz ks. Bismark, stosując „ausrotten" do papierów ruskich, potwierdził prawdziwość owych lekcyj.

Tylko też do tego punktu przypuszczeniem sięgnąć możemy; pytanie zaś: jaki cel ma on w tej manifestacyi (gdyż nawet w *Nordd. Allg. Ztng.* kazał ogłosić, że przyjeżdża do Berlina „na rozkaz cesarza") — stawia nas przed szczelnie zamkniętą dziedziną jego tajemnych planów, której domysłem otwierać nie będziemy. Ale chociaż nam braknie podstawy do odgadnięcia jego zamiarów, nie braknie nam w tym fakcie znamiennego rysu dla scharakteryzowania jego zuchwałej śmiałości. Tylko Bismark mógł się odważyć na taki krok w takiej porze, tylko on umie tak nie liczyć się z uczuciami swego władcy, chociaż zawsze upewnia, że jest najwierniejszym jego sługą. Przyzwyczaił on już niemców do niepodległej, dyktatorskiej samowoli; a jednakże ostatnim czynem wprawił ich w zdumienie. Wierzą i głoszą — jak zwykle: ponieważ *on* to zrobił, *więc* musi być mądre, ale czują się przerażeni jego zuchwałością.

Zmierzyła ją i zrozumiała prasa ruska, która już teraz wypowiada ostatecznie kre-

dyt przyjaźni niemieckiej i przecina wiekowy węzeł. Nigdy może papiery sympatyi dla niemców nie stały niżej w Rosyi, jak obecnie. Nawet wytrwały ich przyjaciel, *Graždanin* woła:

„Skończył się i wiek złoty.

„Z nad brzegów Newy ukazał się ten złowieszczy koniec w formie nowego zadania ruskiej zagranicznej polityki...

„Nigdy już nie będzie ona niemiecką dla prostej przyczyny, że będzie jedynie ruską...

„Pracować „pour le roi de Prusse“ Rosya już dalej nie chce i nie będzie...

„I czyżby nie lepiej było wobec tego, zamiast gniewać się i dąsać na Rosyę, przyznać jej, że ma prawo być ruską i żyć w pokoju, że każdy winien pracować dla swych własnych interesów na podstawach wzajemnego poważania?..

„Stawiamy to pytanie augurom Berlina.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dłużej już niepodobna było taić, więc obnażono prawdę zupełnie: następca tronu niemieckiego niema w gardle ani „polipa,“ ani „brodawkowatej narośli,“ lecz raka lub inny jakiś nowotwór złośliwego charakteru. Ponieważ rozrasta się on szybko i grozi uduszeniem, zwołano więc do San Remo najznakomitszych laryngologów niemieckich, którzy wspólnie z dr. Mackenziem orzekli: narośl jest stanowczo rakowatą — operacya z zewnątrz nie jest wskazaną — wycięcie krtani nie rokuje skutków pomyślnych — trzeba tylko starać się o łagodzenie opuchliny i owrzodzeń, a gdyby groziło zadławienie, wtedy należy przebić tchawicę. Zaniechanie operacyi zewnętrznej zdecydował sam książę, który z przedstawionych mu możliwości wyciągnął ten słuszny wniosek, że lepiej kończyć żywot powoli i bezboleśnie, niż umrzeć pod nożem i prawdopodobnie prędzej. Zasadność tego postanowienia okazała się niebawem: opuchlina w krtani zmniejszyła się, chory swobodniej oddycha i ma nadzieję, że jeszcze pożyje kilka miesięcy, a może i lat. Stan jego wywołał szczere współczucie nawet po za granicami Niemiec. Mylnie, czy nie, dość, że ks. Fryderyk uważany jest za człowieka popędów szlachetnych, nieprzyjaciela militaryzmu i reakcyi, a więc przeciwnika polityki Bismarkowskiej. Po wstąpieniu jego na tron obiecywano sobie nową epokę, w której stłumione tętna narodu odzyskać miały swą wolność i siłę. Przeciwnie, syn jego, ks. Wilhelm uchodzi za młodzieńca olśnionego geniuszem kanclerza i uległego mu bezwzględnie. Jeżeli tedy odziedziczy koronę po dziadku, a Herbert Bismark kanclerstwo po Ottonie, w daleką przyszłość sięgnie obecny kierunek polityki pruskiej. Gnębi ona niemców, dokucza wszystkim narodom — nic więc dziwnego, że beznadziejna choroba ks. Fryderyka zbudziła żal powszechny.

Zaiste, z żalem tylko patrzeć można na coraz bardziej plączące się pasmo skandalów we Francyi. Sprawę sprzedaży orderów sąd rozstrzygnął, ukarawszy winnych więzieniem i grzywnami, ale teraz wypłynęły na wierzch szacherki Wilsona, zięcia Grevego. Ostatecznie ten pan jest moralnym brudasem! W zmowie z prefektem policyi kradnie swoje listy, dołączone do akt, i niszczy, a gdy ich zażądano, kopiuje z pamięci, czyli raczej fałszuje, kładąc datę 1884 r. na papierze z r. 1885. Jednocześnie jego pachołkowie urządzają napad na redakcyę gazety, która posiadała podobne dowody i rabują ją. Wytoczono proces, a sąd zażądał od Izby wydania mu posła, zasłoniętego prawem nietykalności. Izba musi na to zezwolić, a prezydent Rzeczypospolitej naraziłby na szwank swoją powagę, gdyby chciał zięcia bronić groźbą własnej dymisyi. Chociaż Grevy jest bardzo zacnym i z wielu powodów najlepszym dziś kierownikiem Francyi, gdyby dalsze pozostanie na urzędzie uczynił zawisłem od bezkarności dla Wilsona, naród powinien raczej utracić poczciwego staruszka, niż tolerować szachrajstwa męża jego córki. W takich razach uczucia prywatne muszą ustąpić miejsca publicznym.

Walka robotników angielskich z rządem zaostrzyła się tak dalece, że w ostatniem starciu rannych i zabitych liczono już na setki. Lord Salisbury usiłuje ruch stłumić, ale nie ma chęci zlączonej z tym ruchem kwestyi rozwiązać. Gladstone, korzystając z bezradności i uporów przeciwnika, następuje mu na pięty i przypiera do muru.

Ostatnia mowa „premiera“ angielskiego była dość zgodnym akompaniamentem do głosu Kalnokego i jeszcze mocniej dęła w trąbę pokoju; ale ministrów angielskich świat dawno już przestał słuchać w sprawach polityki europejskiej. Nie dlatego, ażeby Anglia utraciła całkiem wpływ na Europę, ale dlatego, że ona z interesu kupieckiego będzie zawsze głosowała za pokojem, tem bardziej, że nie trzymając wielkiej armii, nie dźwiga ciężarów militaryzmu. John Bull zgodziłby się na *krótką* i *cudzą* walkę, ale długiej i jego w ogień wciągającej nie pragnie i nie lubi, dbając przedewszystkiem o to, żeby handel szedł. Muza też handlu dyktowała Salisburemu ostatnią jego mowę, w której ostrożnie przeszedł około gniewnych i zbrojnych, a ukłonił się tym, którzy towary pokoju kupują.

Wiedeński korespondent *Timesa* odsłonił warunki przymierza niemiecko-austryacko-włoskiego, określające spółkę zaczepno-odporną. Doniesieniu temu półurzędownie zaprzeczono, ale jego autor trwa przy swych „odkryciach,“ które zresztą wyglądają dość prawdopodobnie.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NASI „AGRONOMOWIE.“

Posłuchajcie takich faktów.

W jednym z powiatów gubernii płockiej leży folwarczek sześcio-włókowy, posiadający grunty, których bogactwo przyrodzone w niczem się nie różniod wsi sąsiednich, ani jego warunki ekonomiczne nie są wyjątkowe. Właściciel tej maleńkiej fermy w przecięciu corocznie otrzymuje z sześciu — powtarzam — *z sześciu włók cztery tysiące pięćset rubli dochodu czystego.* Nie zbiera manny, nie ma źródeł nafty lub kopalń węgla, lecz po prostu umie gospodarować. Oparł przedsiębiorstwo na hodowli skopów opasowych, zawiązał bezpośrednie stosunki z rynkiem warszawskim, dostawia towar „prima,“ tutejsi odbiorcy licytują się w zaofiarowaniach za produkt wyborowy; po za tem, ów nierozgłośny pracownik z każdej gałęzi swego gospodarstwa umie wyciągnąć zyski. Choć niedyskretnem jest może wglądanie w jego budżet domowy, zmuszony jestem ze względu na przedmiot, który podnoszę, uchylić zasłonę prywatnych wydatków sześciowłókowego rolnika, nadmieniając, że kształcącemu się synowi za granicą płaci rocznie 1,000 rs., zamężnej córce daje rentę w sumie 1,000 rs., z pozostałych 2,500 rs.

---

2)

SZKICE WIEJSKIE.

Zakonnica.

Zaprowadziła więc Bąkowa córkę pewnej niedzieli do „panien.“

Staremu nie opowiada, jak się tam umówiła. Tyle tylko:

— Zostawiłam Marysię, będzie jej tam dobrze.

Sama myśli, że może Marysia nie wytrwa, żeby tak wciąg pacierze odmawiać i na świat nie wyjrzeć. A głośno znów do starego:

— Jać wiem, że do nabożeństwa to się i przynałoży, choćby się zrazu i kucyło, a że się wyrzeknie ode złego, przekleństw i świata, to jej też na dobre wyjdzie.

Bąk oczy wytrzeszczył.

Co Marysi może wyjść na dobre.

Ani ojca zobaczy, ani zagadać do kogo.

Żal mu znów Marysi. Wolałby ją za Franka wydać.

— Dałbym krowę, tobym dał, a Zośka by poczekała.

Ale Bąkowa sfukała go. Takie szczęście spotkało Marysię, a on głupi swoje.

— Szczęście, to i szczęście, czy go tylko nie pożałujeta.

Uciekł Bąk z izby.

On naprzód wiedział, że baba zrobi, co chce.

Zawzięła się i postawiła na swojem.

A w niedzielę mówi:

— Matko, możebyś poszła do miasta i do dziewuchy dowiedziałabyś się.

Ale Bąkowa myśli inaczej.

— Ty wiesz jedno, ja wiem drugie. Zarazbym tam w tydzień leciała! Niech się otęskni.

Marysia tymczasem rzeczywiście tęskni. W klasztorze każą jej posługiwać, sprzątać, pomagać w kuchni.

Wyjść na miasto nie wolno. A tu nikogo ze swoich. Obce twarze, surowe; ani zagadać nie śmie.

Rano zbudzą i sprzątaj. Marysia zamiata, ale na tych ciemnych korytarzach boi się, febra ją trzęsie.

— Olaboga, myśli, chyba przychoruję.

Żegna się i pacierze mówi, ale jedno drugiego się nie trzyma. Ze strachu nic wie, co robi.

Pocałuje starszą w rękę i powie, że się boi.

Powiedziała, ale nie wiele pomogło.

Właśnie trzeba się przyzwyczaić. I właściwie czego się boi? Kto ma czyste sumienie, ten się niczego nie lęka.

Może co złego zrobiła, może pomyślała!

Albo ona wie. Myśli tylko o ojcach, o wsi. A na wsi ona się nie boiwała, ale też i takiej ciemnicy nie było. A choć i w parsku ciemno, to przecież wie, że tam tylko kartofle, a tu?

Trzeba więc było przezwyciężać się.

I nie w tem jednem.

Marysia mówi, że i zaśpiewać nie dadzą.

— One myślą, że ja to nie człowiek: nie gadaj, nie śpiewaj.

I znowu trzeba jej tłomaczyć, że niewszystko i niezawsze wolno śpiewać.

Umie może nabożne pieśni?

Ona by nie umiała! A toć właśnie co niedziela pod ścianę zbierała dziewuchy i śpiewywały i z książki i z głowy.

Jak zaczęły nieraz wywodzić: „Pośpiesz me serce na Kalwaryjom“ — to aż schrypły.

Ona by pieśni nie umiała!

Ale cóż ona winna, kiedy jej w klasztorze jeszcze piosenki do pamięci przychodzą.

Myśli, że pewno złe jej mówi: zaśpiewaj, zaśpiewaj, aż i zaśpiewała.

W kościele jest codzień, spowiadać się może, ile razy chce.

część mniejszą kapitalizuje, większą na potrzeby osobiste obraca.

W tej samej gubernii inny właściciel ziemski potrzebował kupić folwark 10 włókowy po 6,000 rs. Ta cena amatorska kazała przypuszczać, że suma szacunkowa nigdy nie da najskromniejszego nawet procentu; tymczasem p. N. w pierwszym roku gospodarstwa 1885 — 1886, to jest w roku opłakanego przez kraj i rolnictwo przesilenia suezko-panamsko-indyjskiego... osiągnął zysku czystego *cztery tysiące trzysta rubli*, czyli przeszło 7% od wyłożonego kapitału.

Te dwa fakty osłaniam bezimiennością, nie mając upoważnienia wymienić publicznie nazwisk właścicieli i ich majątków, a teraz przechodzę do zaznaczenia ogłoszonych i stwierdzonych rezultatów jakie niektórzy rolnicy w roku bieżącym otrzymali. I tak: *pszenicy* zebrały dominia: Dołhobyczów i Oryszew po 16 korcy z morga, Pocieszyn, Ursynów i Jurków po 15 korcy; *żyta*: Dołhobyczów 23 kor., Ryki i Skordyów po 15 k. z morga; *owsa*: Łukowe i Skordyów 29 k., Dołhobyczów, Ursynów i Oryszew po 24 korcy z morga.

To są fakty i czyny.

Posłuchajmy teraz płaczliwych słów rolników i przyśpiewującej im prasy. „Ziemia jest przedsiębiorstwem najniewdzięczniejszem, kapitał umieszczony w rolnictwie jest stracony niepowrotnie, przechodzimy straszne przesilenie, Ameryka nas zabija, Bismark dusi, upadamy pod brzemieniem ciężarów, których żadne gospodarstwo nie przetrzyma...“ itd., bo na wymienianie oklepanych zwrotów, jakimi częstują nas na śniadanie, obiad i kolacyę gorliwi trębacze „przesilenia“ i „upadającej własności ziemskiej“ — miejsca by nie starczyło.

A teraz, proszę, porównajcie rezultaty faktyczne z gołosłownym jękiem kryzysowiczów i przyznajcie, że skoro pierwsze z drugim tak rażąco się nie godzą, musi tu zachodzić jakaś fatalna omyłka i albo ziemia u nas nie rentuje, lub też, dla niewiadomych przyczyn, przedsiębiorcy warsztatu rolnego maskują przed krajem istotny stan bilansu gospodarczego.

Ani pierwsze, ani drugie. Tylko zamiast boleć nad ciężkiem położeniem rolnictwa, zapłaczmy nad ciężkiem położeniem głów, powołanych do kierowania przedsiębiorstwem i rozbijających się o twardy mur, któremu miano... nauka.

Nie kryjmy fałszywie przyczyn upadku rolnictwa, nie osłaniajmy jego pracowników „niezależnemi od nich okolicznościami,“ nie kładźmy na ich skronie korony męczeńskiej, bo najgłówniejszym i prawie jedynym powodem ciężkiego położenia jest tu nieumiejętność.

Powołaliśmy się wyżej na parę oderwanych faktów; wyliczyć ich moglibyśmy setki i przyjąć za ogólną regułę, gdyby wszędzie włożono tę sumę wiedzy i inteligencyi.

Nie wniknęliśmy jeszcze w istotę położenia, nie zrozumieliśmy, że po upadku pańszczyzny rolnictwo winno się było odrazu oprzeć na sile umysłowej jego kierowników, a ze ścieżek rzemiosła wyjść na drogę nauki, stać się *agronomią*—i dlatego bawimy się wciąż frazesami, wzdychamy nad niedolą „nieszczęśliwych rolników,“ którym zamiast całego ładunku kwestyonaryuszów i konkursów, należałoby wypchać głowy wiedzą.

Dowodzić, na jak nizkim poziomie stoi specyalne wykształcenie rolników, nie potrzeba, bo świadczy o tem gospodarstwo krajowe, bez składu i ładu prowadzone. Nie wytworzono racyonalnych systemów, nie wytknięto jasnych kierunków, a półrublowy spadek ceny na korcu zboża wytwarza popłoch, prowadzi do wystawienia na sprzedaż $^3/_4$ dóbr stowarzyszonych w Towarzystwie kred. ziemsk. Czy mamy jakie typowe rasy bydła i koni? Czy posiadamy przemysł rolny? Nie, tylko naśladujemy i błądzimy po omacku, bez wyrozumowanych podstaw, bez znajomości zawodowej. I nie może być inaczej. Kraj rolniczy, chorujący na nadmiar techników, lekarzów, prawników, a najzupełniej ubogi w agronomów, musi stopniowo coraz szybciej dążyć do upadku przedsiębiorstwa, dotychczas pierwszorzędnego.

Spojrzyjcie na stronę duchową, którą spożywa inteligencya wiejska, przekonacie się, jak suchotniczy żywot wiodą dwa pisma, będące niby organami ośmiu tysięcy rolników, a tu w Królestwie nie liczące więcej razem, niż pięćset prenumeratorów; spytajcie wydawców, jak się opłacają nakłady rzadkich dzieł rolniczych, a będziecie najlepszy mieli dowód, czem jest ten zastęp ludzi dzierżących dziesięć milionów morgów ziemi.

Nie można im zarzucać braku zamiłowania zawodu, choć i ono upada obecnie pod wpływem obniżającej się moralnej i materyalnej zasobności społecznej — ale choćby zamiłowanie spotęgowało się nawet do olbrzymich rozmiarów, nie stanie za szczyptę nauki, za garść wiadomości czerpanych nie w empiryzmie, lecz w potężnej świątyni teoryi.

Rzadkie dowody powodzenia, któreśmy na początku wymienili, to oazy na jałowej pustyni nędzoty umysłowej rolników, to fakty, świadczące, że ziemia jest u nas wdzięcznem przedsiębiorstwem, że renta gruntowa to nie jakieś niepochwytne mamidło, lecz rzeczywista korzyść tych, którzy ją wytwarzać umieją. A tymczasem na te niezbite dowody nie zwracamy uwagi, bo wmówiliśmy w siebie i uwierzyli w jakieś kolosalne i wyjątkowe przeszkody, piętrzące się nad rolnictwem krajowem, zamiast widzieć je przedewszystkiem w małoletności umysłowej jego kierowników.

Chcecie przykładów? Oto jeden chyba dość wymowny. Elementarne zasady nauki głoszą, że popłatność przedsiębiorstwa mierzy się nie ceną za produkt otrzymywaną, lecz ilością jego, jaką w identycznych warunkach czasu, gleby i otoczenia ekonomicznego z jednej i tej samej przestrzeni wytwarzamy. Można produkując z morga 5 korcy pszenicy po 10 rs., zamykać bilans gospodarczy niedoborem, gdy przeciwnie, produkując 12 korcy z morga po 6 rubli, osiągniemy zysk poważny. Czy takie wzmożenie wytwórczości jest niemożliwem? Bynajmniej, tylko trzeba znać sztukę kierowania siłami przyrody, a nie być w jej ręku ślepą igraszką. Ale u nas o tem się nie myśli. Na wiadomość o urodzaju w Ameryce lub podniesieniu cła w Niemczech, drżą łydki pod większą własnością, rozlegają się pienia żałobne i nikt nie powie: „produkujcie więcej na mordze, a zewnętrzne i nieprzyjazne wpływy nie będą co chwila wstrząsać waszym bytem.“ Takiej rady nie damy, bo obawa naruszenia sanctuarium szlacheckiego, w którem wszystko od barw cudownych się mieni i wszystko jest doskonałem, naraża na zarzuty prawdomównego śmiałka, zamiast czci i uwielbienia ośmielającego się odkrywać pustotę tych... głów do pozłoty.

Czy jednak wolno nam dłużej patrzyć spokojnie na ruinę ekonomiczną, jaka krajowi grozi ze strony cyrulików rolnictwa, którzy zeń tylko krew puszczać umieją? Trzeba nam koniecznie i spiesznie doktorów a zrobić ich musimy. Ale jak?..

Przed laty z trybuny izb francuskich rzucono Mac-Mahonowi potężny rozkaz: *il faut se soumettre — ou se demettre!* To nasze godło. Albo poddać się trzeba nauce, w niej szukać wskazówek, rady i pomocy, lub ustąpić, gdy się czuje bezsilność lub nie pragnie spętania więzami wiedzy.

Zakonnice ją chwalą, czasem wołają na naukę. Wolałyby pewno częściej, ale Marysia nie ma czasu. Zanim pozamiata, pozmywa, to już i wieczór. A teraz ono pranie. Przykrzy jej się. A matki nie widać tydzień jeden, drugi i trzeci.

Może i przychodziła a nie dopuścili jej. Może wcale nie dopuszą.

I płacze. Aż nareszcie zobaczyła jednej niedzieli kraciastą chustkę w kościele. Poznała od razu. Mamulka, mamuleczka.

Nabożeństwa nie słucha, tylko patrzy na matkę i powtarza sobie: żeby mnie też zabrała. Już jej się sprzykrzyło w klasztorze.

Po nabożeństwie już całuje matki ręce.

Jaka ucieszona! Bąkowa rozrzewniona; przykłada wciąż płatek, nie wiadomo, czy do nosa, czy ociera oczy. Może i płacze.

Marysia śmieje się.

— Mamuleczku najkochańsza, już ja wrócę do domu, dłużej nie wytrwam.

Ale Bąkowa ani słuchać chce.

— Ty głupia wstydu mi nie rób. A cóż ci tu złego? To ja się nałatałam, naprosiłam „panien,“ żeby ją przyjęły, a ta chce wracać.

Ale stara tak mówi, a sama widzi, że Marysia zmieniona, zmizerowana, jakby po chorobie wstała.

A dziewczyna opowiada o swoim strachu, o robocie, że ciężka, i o tem, jak jej w klasztorze duszno; nieraz by na miasto wyleciała, a tu siedź w murach.

A one trupie głowy w celach!

I, jakby się jeszcze bojąc, ukryła twarz w obie ręce.

Stara przeżegnała się.

— Nie pleć głupia, nie pleć, nie zgrzeszaj.

Sama wszakże jasno nie wie, czem Marysia zgrzesza. Powiedziała ot tak, żeby dziewczynie gębę zamknąć. Myśli: może nie będzie się napierała do domu.

Obiecała prosić panien, żeby jej robotę zmieniły. Prosiła.

Naturalnie, że zmienią, wyznaczą inną, ale niech się pierw przyzwyczai do takiego cichego życia. Potem i w kościele posługiwać będzie. A to właśnie marzenie Marysi. Została więc.

Matka poszła do wsi. Baby wypytują: a cóż tam córka, cóż tam zakonnice?

Bąkowa zła.

— Przeciągajta przez zęby — mówi — przedrwiwajta.

A do starego:

— To wszystko przez zadrość.

Zresztą sama wie, że nie mają czego zazdrościć.

— Teraz — mówi—służba, to służba, jak w każdem innem miejscu, a cięższa jeszcze, bo swobody mniej.

— Aleć to na krótko— pociesza się sama.

I rzeczywiście w parę miesięcy odwiedziła Marysię, zastała ją zadowoloną — jest już tercyarką.

Myśli, że już tak będzie lepiej, niż siedzieć całe dnie w klasztorze. Zobaczy kawał świata, nałyka powietrza. A że się wyrzekła zamążpójścia, to przecieby i tak za mąż nie poszła.

Zaraz w pierwszym tygodniu po żniwach wsiadła Marysia raz pierwszy na wóz drabiniasty. Chłopak powożący obejrzał się na nią parę razy, jakby ze zdziwieniem. Myślał pewno, że jeszcze nigdy takiej chudej tercyarki nie woził. Niedługo jednak przestał się dziwić. Marysia pasła się na tym żebraczym chlebie, jak może żadna jej poprzedniczka. Zajeżdża teraz do swej wioski, robi to nawet zbyt często. Już baby zaczynają się krzywić.

— Panny nienasycone — mówią.

Nie rozumią, że to Marysia dogadza swojemu uczuciu. Stęskniła się.

Dziś nawet swego kawalera Franka rada wita — i śmieje się i rozmawia z nim.

Tak jej dobrze między swojemi.

Siostry witają już nie tak poufale: całują w rękę — Zośka w ramię. Mówią jej *wy*, albo, niech siostra siada, niech weźmie. Najmłodsze tylko pociągają za fartuch i za

Poddać się powinni ci, którzy rozumieją, że nie wolno marnować bogactwa kraju wystawianiem go na niedołężne kierownictwo, ustąpić — zarozumiali lub próżniacy. Ci ostatni im prędzej to zrobią — tem lepiej...

Gozdawa.

POSTĘP WIEDZY TECHNICZNEJ.

I.

Wszystkie umiejętności techniczne mają jeden wspólny cel — wydostanie i uszlachetnienie surowych płodów natury, oddanie ich w najodpowiedniejszym stanie na pożytek ludzkości. Oprócz tego dalszego ogólnego celu w każdym prawie okresie swych dziejów działalność technologiczną przebiegają jeszcze inne ogólne prądy, które niekiedy o mało nie wyradzają się w manię. Przed paru laty wszystkie gałęzie techniki zostały silnie wstrząśnięte prądem... elektrycznym. Kilka udatnych zastosowań tej siły zwróciło uwagę wszystkich wynalazców. Nie było może dziedziny, gdzieby jej nie stosowano lub przynajmniej nie usiłowano zastosować. Chciano gotować elektrycznością, buraki oczyszczać elektrycznością, jeździć elektrycznością, latać elektrycznością, niewiele nawet brakło, ażeby myślano elektrycznością (rozumie się, mówię tu o sztucznie wytworzonej). Obecnie dążność ta przemija; nie znaczy to, ażeby odrzucono wszystkie zastosowania elektryczności, bynajmniej. Taki okres spokojnej pracy rozgatunkuje tylko ponarzucane poprzednio bez porządku fakty, wyosobni to, co rzeczywiście zasługuje na trwalsze zastosowanie, od tego, co tylko chwilowa gorączka wytworzyła. Natomiast inny prąd niemniej silnie wyciska swoje piętno na usiłowaniach techników; silna konkurencya — skutek częściowej nadprodukcyi — zmusza fabrykantów całą swą baczność poświęcić całości własnej skory. Nie myślą oni najczęściej o ogólniejszych środkach leczniczych, lecz każdy stara się o największy zbyt swoich wyrobów. Ku temu wiodą dwa środki: ulepszenie gatunku towaru lub zmniejszenie jego ceny. Pierwsze okazuje się skutecznem tylko tam, gdzie kupujący umie wartość wyrobu ocenić, zmniejszenie ceny natomiast, może nawet do pewnego stopnia zwiększyć ilość konsumentów. To też prawie powszechnie chwycono się ostatniego sposobu. Lecz fabrykant zwykł dopiero na ostatku myśleć o uszczupleniu własnych zysków; wszystkie starania zwrócono więc na redukcyę kosztów wyrobu i oszczędność stała się ogólnem hasłem. Produkcya używa dwu czynników: siły i materyi. Oszczędzają więc na sile, oszczędzają na materyi. Zaoszczędzić można, zużywając mniej siły i materyi do wytworzenia tej samej ilości produktu (gdzie to jest możebnem), albo wyrabiając ten sam produkt z tańszego materyału, przy zastosowaniu tańszego motoru, lub nakoniec przez lepsze zużytkowanie odpadków. We wszystkich tych kierunkach technika zrobiła w ostatnich kilku latach ogromne postępy. Tu, jak nigdzie, dałoby się zastosować przysłowie: „wiele ten czyni, co musi.“ Przy bliższem rozpatrzeniu zauważono, że w wielu razach dotychczasowe sposoby fabrykacyi były uprawiane — co się zowie — po pańsku, tj. bez żadnego wyrachowania. Ponieważ dla nas najciekawszym powinien być stan przemysłu rolnego, od niego więc rozpocznę moją pogadankę.

Ze wszystkich gałęzi tego przemysłu najbardziej rozwiniętą pod względem technicznym jest cukrownictwo, lecz i tu pozostaje jeszcze obszerne pole dla działalności reformatorów i wynalazców.

Cukrownik nasz otrzymuje z buraków sok przez wyciskanie lub przez ługowanie zimną czy też gorącą wodą; sok ten zawiera obok cukru pokaźną ilość innych ciał, bądź to utrudniających wydostanie głównego produktu, bądź też wpływających ujemnie na jego własności. Wszystkie następne operacye zdążają do usunięcia tych szkodników, do wydobycia cukru w najczystszym stanie. Oczyszczają sok buraczany zapomocą wapna, wapno usuwają następnie kwasem węglanym i ogrzewają sok; przytem wypada także znaczna ilość niepotrzebnych, a często szkodliwych przymieszek i zostaje przy cedzeniu usuniętą. Lecz zwykłe cedzenie nie wystarczało dotychczas. Z odcedzonego soku otrzymano szare, maziste kryształy cukru; przyciągały one szybko wilgoć z powietrza, rozpływały się i miały bardzo przykry smak. Dopiero gdy sok przecedzono przez węgiel z kości, zmieniał się on, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszystkie ujemne strony znikały. Nie dziw, iż cukrownicy uważali węgiel kostny za duszę całej fabrykacyi. Lecz czarna była to dusza, drogo musiano opłacać jej usługi! Nietylko sam węgiel nie należał do przedmiotów tanich, ale odmawiał jeszcze po niedługim użytku swych usług. Ponieważ cała jego wartość polegała na zdolności zatrzymywania pewnych szkodliwych ciał, gdy więc nabrał ich dostateczną ilość, został, że tak powiem przeładowany, stawał się bardzo leniwym. Ilości soku, które w takim okresie były przezeń cedzone, nie doznawały żadnych ulepszeń. Znany jest wprawdzie sposób obudzenia tej uśpionej duszy, należy mianowicie różnymi sposobami usunąć z niej nagromadzone z soku ciała, lecz ożywianie takie jest znowu bardzo kosztowną operacyą i udaje się tylko kilka razy; potem węgiel zupełnie traci swe zdolności zaborcze, przestaje wchłaniać różne ciała z cedzonych przezeń roztworów. Wtedy można go tylko przerobić na nawóz z powodu znacznej zawartości w nim kwasu fosfornego, potrzebnego prawie dla każdej rośliny, a rzadko napotykanego w glebie w dostatecznej ilości, albo oddać do fabryk szuwaksu lub innych podobnych użytków, przyczem zwraca się ledwo cząstka jego pierwotnej wartości. Fabrykanci patrzyli też z pod oka na tak kosztowną substancyę i niejedna głowa rozmyślała nad wynalezieniem dla niej zastępcy. Do najnowszych czasów usiłowania ich pozostawały bezowocnemi. Żadna inna substancya nie mogła oddać cukrownikowi tych usług, co węgiel z kości. Dopiero w ciągu ostatnich kilku lat nadciągnęła pomoc i to z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Nieraz uważali cukrownicy, że im staranniej oczyszczano soki zapomocą wapna i innych czynników, tem mniej potrzeba było następnie węgla kostnego. Stąd właśnie zrodziła się myśl, iż węgiel naprawia tylko błędy, poczynione przy poprzednich operacyach i gdyby można ustrzedz się od tych błędów, byłby on zupełnie zbytecznym. Myśl ta pozostawała w sferze ideałów, dopóki oczyszczano soki wapnem i kwasem węglanym tylko jeden raz; z czasem jednak przekonano się, że o wiele korzystniej oczyszczać je dwukrotnie; obecnie w niektórych cukrowniach powtarzają tę samą operacyę trzy razy i w ten sposób udało się rzeczywiście otrzymać tak czyste roczyny cukrowe, że węgiel kostny dostał dymisyę. Tak łatwy sposób pozbycia się niedogodnej, lecz koniecznej substancyi niejednemu wydaje się nieprawdopodobnym — konserwatywniejsi cukrownicy przysłuchują się z niedowierzaniem wszelkim wieściom o wyśmienitych własnościach cukru, wyprodukowanego bez użycia węgla kostnego. Cóż robić, każda nowa myśl musi stoczyć walkę z zakorzeniałemi nawyknieniami, nim zwycięży. Tutaj zwycięztwo będzie łatwiejszem,

---

sznurki. Śmieją się, że siostra w takim burym sukmanku.

Ona im daje obrazki, medaliki. Babom przywozi szkaplerze.

Bąkowa promienieje.

— Patrz stary — mówi do męża—akurat taka gruba, jak każda tercyarka.

Pokazuje Marysię z radością i dumą.

A do niej powiada:

— Widzisz, to taki nowicyat. Za jakie dwa lata będziesz na chórze śpiewała.

A stary zrzędził:

— I cożeś z niej zrobiła? Żebraczkę, latawca. Na starość swego kąta nie będzie miała.

Przy Marysi jednak nic podobnego nie mówi. Jego dziewucha wydaje mu się w tych fałdowanych sukniach taka wspaniała!

Dopóki patrzy na nią, jest kontent z nowicyatu.

Jak mu z oczów zejdzie, martwi się, co ona na starość pocznie. Ale Bąkowa uspokaja go. Daje mu za przykład Zawadzkę, co przez tyle lat za gęśmi chodziła i uzbierała sobie półtora tysiąca. Teraz na starość siedzi w mieście i żyje sobie spokojnie. Jak ona tam te pieniądze zebrała, to już jej rzecz, trudno wiedzieć. Bąkowa nie robi żadnych przypuszczeń. Mówią, że Zawadzka z żebranych gęsi niejedną sprzedała, ale kto tam zaręczyć może. Dosyć że półtora tysiąca okulpnęła. Zresztą choćby jej tam i kapnęło co, to przecież wiadoma rzecz: kto przy kościele mieszka, ten z kościoła żyje.

Albo i Szczygielska! Dotąd tercyarką jest i po świętych miejscach chodzi, a czego jej nie starczy, to sobie po dworach dobiera i żyje w dostatku.

Marysia jeździ za snopkami — może na snopkach co zarobić.

Nie mówi matka jednak tego dziewusze. Myśli, że potrzeba nauczy ją, jak ma sobie radzić.

Minął rok owego nowicyatu. W życiu Marysi nic zaszła żadna zmiana. Jeździ po całej okolicy, zwozi zapasy i modli się.

Raz nawet przez cały tydzień zastępowała starą tercyarkę w kościele. Spełniło się więc jej marzenie. Stroiła ołtarz do majowego nabożeństwa. Przypina robione kwiaty do świec, swiczymi obstawia cały ołtarz, zapala kolorowe lampki, a co chwila potrzebuje iść do zakrystyi. Zupełnie, jak stara tercyarka.

Wszyscy naturalnie patrzą tylko na nią. Niejedna baba westchnie:

— Mój Boże, dopiero to śmiałość.

Marysia chętnieby przestała jeździć, gdyby tak przez cały rok mogła gospodarować w kościele.

Czy kto prosi o księdza do spowiedzi, czy o prędkie danie komunii, czy naprzykład głuchy potrzebuje wyspowiadać się sam w zakrystyi—onaby wszystko potrafiła załatwić.

I księdza poprosić, służbę kościelną i chłopców wypędzić z zakrystyi. Patrzyła przecież tyle razy, jak się to robi, umiałaby.

Ale cóż! Stara tercyarka wyzdrowiała i wróciła do swoich czynności— Marysia na wóz.

W drugim roku użyły ją panny do rozwożenia opłatków. Tak pilnuje, żeby się nie pomylić. Piękne żłobki dać w najhojniejszych dworach, a dać tyle, ile jest małych dzieci. Zwyczajne gwiazdki z opłatków — skąpszym.

Marysia rozdaje zadowolona. Winszuje wesołych świąt, ale sama wie, że jej idzie niedobrze.

Słyszała nieraz, jak to innym słowa płynęły, jak się pięknie wyrażały, że i zrozumieć niełatwo, a jej jakoś nie kleiło się.

Powtarzała tylko:

— Żeby to Bóg najwyższy dał wszystko dobre, żeby ta Matka Przenajświętsza zmiłowała się...

Ale tu zawsze tak się zacięła, że ani rusz dalej; wcale nie wiedziała nad czem Matka Przenajświętsza ma się zmiłować.

ponieważ w grę wchodzi własny interes fabrykantów.

Nie mniej zgryzoty od węgla kostnego dostarcza cukrownikom inna ciemna substancya — melasa. Oczyszczony sok buraczany poddają parowaniu i przy pewnym stopniu zgęszczenia krystalizuje się z niego cukier. Pierwsze jego kryształy są bardzo czyste, zowią je też pierwszym produktem, pozostały płyn zawiera jednak jeszcze bardzo znaczną ilość cukru, zgęszczają go ponownie i otrzymują znów kryształy mniej czyste, niż poprzednie. Powtórzywszy tę operacyę kilkakrotnie, cukrownik otrzymuje nakoniec płyn ciemny, zwykle cuchnący, lepki. Ten płyn zowią właśnie melasą. Przez stopniowe usuwanie cukru z soku buraczanego zmienił się stosunek jego ilości do ilości innych ciał, które w soku pozostawały niezmiennie. To też chociaż melasa zawiera jeszcze około połowy swej wagi cukru, nagromadzone w niej ciała obce nie dają mu wykrystalizować się przy dalszem zgęszczaniu. Cóż ma czynić fabrykant z taką substancyą? Wylać ją — znaczy to tracić znaczną ilość tak ważnego ciała, jakiem jest cukier. Zrodziło się więc bardzo ciekawe zadanie— wynaleźć łatwy sposób wydostawania cukru z melasy. Jednym z podobnych środków byłoby usunięcie z niej ciał, przeszkadzających krystalizacyi tak zwanych melasotworów. Jeszcze Graham zauważył, że nie wszystkie ciała przechodzą z jednakową łatwością przez przegródkę z pęcherza. Jeśli z jednej strony takiej przegródki umieścimy roztwór z kilku ciał, z drugiej zaś wodę, to po niejakim czasie woda będzie zawierała znaczne ilości tych ciał, które łatwo krystalizują się (krystaloidów), natomiast bardzo mało ciał niekrystalizujących, galaretowatych (koloidów). Dubrunfaut próbował zastosować własność tę do powyżej wspomnianego celu — usunięcia melasotworów. Sposób ten znany jest w technice pod nazwą osmozy. Stosują go w wielu cukrowniach, zwłaszcza francuzkich, lecz przedstawia on także znaczne niedogodności: osmoza usuwa tylko część melasotworów, jednocześnie roztwór cukrowy zostaje znacznie rozcieńczony wodą i można z niego znów tylko część cukru otrzymać. W fabrykach, zamiast kosztownej przegródki pęcherzowej, używają tak zwanego papieru pergaminowego, osmozyjnego, który zresztą także nie jest zbyt tanim, bardzo szybko się psuje i musi być zastąpiony nowym.

Drugi środek wydostania cukru z melasy polega na utworzeniu nierozpuszczalnego połączenia cukru z jakiemś ciałem, oddzieleniu tego połączenia od reszty płynu, w którym pozostają wszystkie przymieszki, a nakoniec na wyswobodzeniu cukru od złączonego z nim ciała. Cukier tworzy połączenia mniej lub więcej nierozpuszczalne z wapniem, strontem, barytem, ołowiem. Prawie wszystkie te związki próbowano stosować z lepszym lub gorszym skutkiem. Najwięcej zajęcia budziły zawsze połączenia cukru z wapniem, jako ciałem najczęściej napotykanem w naturze, a więc i najtańszem. Technika zna kilka takich związków, cukrzanów wapnia. Niektóre są bardzo łatwo rozpuszczalne w wodzie, za to nierozpuszczalne w tęgim spirytusie, inne nawet w wodzie częściowo się nie rozpuszczają. Spirytus jest jednak substancyą dosyć kosztowną, przy stosowaniu go tracono znaczne ilości, to też sposób taki okazał się nie bardzo korzystnym, aby zaś otrzymać cukrzan wapnia nierozpuszczalny w wodzie, trzeba ściśle zachowywać pewne warunki, czego znowu w fabryce dokonać nie można; wskutek tego traci się znaczna ilość cukru i zyski nie zawsze pokrywają koszta przerobu.

Cukrzany barytu i ołowiu są szkodliwe zdrowiu i z tego powodu w niektórych krajach wzbroniono użycia ich; cukrzan strontu za to zyskał w ostatnich czasach cokolwiek więcej rozgłosu; i u nas istnieje jeden specyalny zakład przeróbki melasy za pomocą stroncyanitu, w Żytyniu pod Równem, Połączenia strontu należą jednak do bardzo rzadkich, wskutek tego i cena ich jest dość wygórowaną, a ponowne wydostanie w odpowiedniej dla cukrowni formie, po jednorazowem użyciu jest, jak dotąd, zadaniem nierozstrzygniętem.

Mógłbym jeszcze pokaźną ilość innych podobnych pomysłów tu przytoczyć, nie chcę jednak nadużywać cierpliwości czytelników. Spodziewam się, że już i obecnie nabyli oni przeświadczenia o trudnościach, z jakiemi wydobycie cukru z melasy jest połączone. Ponieważ wszystkie wymienione sposoby są kosztowne, opłacają się więc tylko wtedy, gdy cukier nie jest zbyt tanim, lub tam, gdzie rząd popiera tego rodzaju produkcyę przez wydawanie premij wywozowych.

Próbowano używać melasę do innych celów. Zadawano ją w gorzelniach drożdżami, aby wzbudzić fermentacyę i odpędzano wyskok, lecz ten posiada bardzo przykry smak i zapach. Obok cukru zawiera melasa znaczną ilość soli, szczególnie potażowych; we wszystkich więc wypadkach, gdy już sukier usunięto, można z pozostałości otrzymać te sole; nie opłaca się to jednak w obecnych czasach, ponieważ bogate kopalnie dostarczają tego materyału więcej, niż potrzeba.

Próbowano zastosować melasę do wyrobu cementu i zaprawy mularskiej, lecz o ile cukier zwiększa trwałość podobnej zaprawy, o tyle melasa okazuje się szkodliwą: znaczna zawartość soli potażowych i sodowych stoi i tu na przeszkodzie jej zastosowaniu, cement wchłania następnie dużo wilgoci, sole wykrystalizowują. Niektórzy mydlarze dodają melasę do mydła; dobrem to jest chyba tylko dla zamydlenia oczów konsumentom, albowiem melasa nie zawiera kwasów tłuszczowych, nie podnosi wartości mydła, a zwiększa tylko jego wagę.

Bardzo ciekawe zastosowanie znalazł dla melasy Saltery. W różnych zakładach górniczych zalegają często ogromne masy miału węglowego, odpadków rudy itp. Z powodu jego małych rozmiarów, nie można tego materyału zużyć. Nie wiem, czy bajka o ślepym i kulawym, czy jakie inne skojarzenie wyobrażeń natchnęło Salterego myślą połączyć te odpadki zapomocą melasy. Dawniej już próbowano je sklejać różnymi środkami, lecz melasa okazała się klejem najpraktyczniejszym. Przy jej to pomocy tworzą z takich odpadków rodzaj ciasta, formują z niego cegiełki i suszą. Cegiełki takie bardzo łatwo użyć do celów hutniczych. W ten sam sposob można sklcić trociny drzewne. Nietylko stają się one wtedy doskonałym materyałem opałowym, lecz można je także użyć do wyrobu gazu świetlnego, zamiast węgla kamiennego lub innych materyałów opałowych.

Używają melasy na pokarm dla bydła; znaczna zawartość cukru okazuje się tu bardzo korzystną. Jeszcze pokaźną ilość innych dziur starano się nią załatać, szczególnie od czasu spadku cen cukru, lecz pomimo to życzyć należy, aby dalszy postęp wiedzy technicznej umożebnił wydostanie z niej cukru łatwym i tanim sposobem, aby ten tak ważny materyał nie ginął marnie, a stał się dostępnym nawet najuboższym klasom ludności.

Tyle już napisałem o oszczędzaniu materyi, że o zaoszczędzeniu siły zaledwie parę słów dodać mogę. I w tym kierunku cukrownictwo nie ustępuje innym gałęziom przemysłu; pojawiają się wciąż nowe maszyny z dążnością ekonomiczniejszego zużycia paliwa. Cukrownik lepiej obwija i utula obecnie swoje przyrządy, niż najtroskliwsza matka swoje dziecię; i on się obawia, by te przyrządy nie zaziębiły się, nie straciły ciepła przez promieniowanie. Nakoniec ważną

— Eh! bodajto organista. Ten trzepie oracyę, jak pacierz. Żadna tercyarka nie umywała się do niego. Już musi mieć bestya taki pysk wyprawny.

Ale Marysia tylko taka skromna. Owszem i ona nieźle „trzepie oracyę."

Nauczyła się i mówić i patrzeć.

Zawraca oczami, spuszcza je; ręce składa na piersiach, a tak umiejętnie się wykręca, że zawsze koronki wiszące u pasa medalikami i krzyżami brząkają. Ten odgłos jest taki dla niej przyjemny, tembardziej, że wszyscy zaraz spoglądają na to, co u pasa dzwoni, a dzieciaki na wsi całują wszystkie medaliki i krzyże.

Marysia umie rozprawiać. Zawsze opowie „pannom," co gdzie widziała; jak państwo do niej rozmawiali, a jak do siebie.

Wszystko umie powtórzyć. Czasem, kiedy nie wyjeżdża, lata na miasto do jakiej pobożnej niewiasty i tam różności nadowiaduje się.

A baby ją lubią. I ona im przecież coś o klasztorze powie: co jedzą, co robią, jaka przełożona ostra i na siostry i na służbę. Do obcych mówi zawsze „my."

Przecież i ona należy do zakonu—wyrzekała się marności, zamążpójścia i „odezłego."

A złośliwi utrzymują, że Marysi ciężko teraz w klasztorze, że się rozpuściła.

— Aby tylko z klasztoru wydostać się mogła, zaraz do Szczygielskiej, albo do szewcowej. Z pół miasta zna ją. Wesoła tercyareczka.

Już ją i „panny" strofowały, ale to nie pomogło. Utrzymuje ona, że to nic wielkiego, gdy pójdzie pogawędzić.

Ale bo „panny" nawet wyobrażenia nie mają, jak jej się „kucy" w klasztorze. Jeździć, to i jeździć, ona od tego nie odbiega, owszem z wesołą miną wdrapuje się na wóz; ale gdy jej każą w kuchni posiedzieć, albo sprzątać korytarze! Dla rozweselenia więc idzie na miasto. Zawsze się o coś zamówi.

Kiedyś spotkała u Szczygielskiej leśniczkę.

Leśniczka dziwnie na Marysię spojrzała i rzekła:

— Myślałam, że Marysia ciągle przy kościele; jak nie po proszonem, to przy pacierzach, a nie na wizytkach.

We wsi rozpowiada trzy razy tyle: że Marysia latawiec, że o niej różnie mówią, że u szewcowej spotyka chłopaków i nie stroni od nich, jak dawniej.

Bąkowa aż ręce załamała. Na drugi dzień była już w klasztorze. Wypytała, Marysię zaklęła na wszystkie świętości, żeby swej duszy nie gubiła.

Ale Marysia uspokoiła mamulkę, że to plotki tylko. Wytłomaczyła, że tercyarki schodzą się razem i bywają u porządnych mieszczanek a nikt im tego za złe nie ma.

Uwierzyła matka: przecież Marysia nigdy nie skłamała.

A do wsi od czasu do czasu przychodzą znów wieści, że Marysia na tercyarkę za młoda, że za ładna.

Ona pewnie nawet żałuje, że ślubowała.

Ale Bąkowa teraz już bajanie puszcza mimo uszu. Plotki, nic więcej. Dziewucha zawsze była powolna, cicha, terazby jej się nagle odmieniło!

A Marysi rzeczywiście odmieniło się.

Mówi do szewcowej:

— Paniuleczku, jak was dzień, dwa nie widzę, to kęz się nie urwę. Już tak panią lubię.

A może nie samą szewcową tak lubi.

U szewców zawsze wesoło. Czeladników pełno, co wieczór goście przychodzą. Czytają gazety, grają w karty. Czasem i na harmonii. Marysi, kiedy wraca do klasztoru, w głowie szumi, jak woda pod młynem. Zapach piwa, tytoniu, gwar — odurza ją. Kawał w noc przewraca się, usnąć nie może. A jakie tam myśli w głowie! Pełno ich jest; alec pewno żadna klasztorna nie będzie.

rubrykę przedstawia oszczędność na żywym motorze. I tu przyświeca ta sama idea — wyzyskać do możliwych, a często i do niemożliwych granic. Lecz wolę nie dotykać tak śliskiego przedmiotu, bo mógłby łatwo wpaść na pole roztrząsań socyologicznych.

J. Zahler.

BADANIA NAUKOWE.

EMBRYOLOGIA PRAWA.

II. Rozwój prawa kryminalnego.

W społeczeństwach, jak osetyńskie, gdzie każda grupa krewniaków stanowi samodzielną a odosobnioną całość, postępowanie z winowajcami przybiera odmienną postać według tego, czy przestępca stoi wewnątrz, czy też na zewnątrz rodu.

W stosunkach zewnętrznych grupa krewniacza występuje jako jedność; kto krzywdzi pojedynczego członka, ma do czynienia z wszystkimi współtowarzyszami i, na odwrót, ogół krewniaków odpowiada za sprawy każdego. „Każdy krewniak zamordowanego uważa za święty swój obowiązek zemstę na winowajcy i jego współkrewnych. Kto tego nie czyni, podlega najdotkliwszym upokorzeniom, a ród i rodzina — niesławie.“ Zresztą nietylko zemstę, lecz i zwykłą zbrodnię dokonywa się zazwyczaj otwarcie, obwieszcza się ją publicznie i szuka w niej chluby. W każdym razie, nawet gdy czyn zbrodniczy zostaje popełniony skrycie, z samego już trybu życia domowego muszą o niem wiedzieć najbliżsi krewniacy. Uchodzą też za współuczestników. Zresztą o odpowiedzialności jednostkowej niema i nie może być jeszcze mowy. Lecz, co jest najcharakterystyczniejszem i odsłania istotę staroczesnych poglądów na przestępstwo: osetyni nie znają okoliczności łagodzących, ani nie odróżniają krzywdy przypadkowej od rozważnie zadanej. Gdy podczas polowania lub wyprawy wojennej ktoś mimowolnie zabije towarzysza, krewniacy tego ostatniego mszczą się, jak gdyby za czyn rozważny. Nawet w razie kradzieży broni, jeśli pokrzywdzony dosięgnie złodzieja, a broń przy wzajemnem mocowaniu się wystrzeli i powali złoczyńcę, krewniacy jego poszukują zemsty. W dalszem następstwie zwyczaj każe dochodzić i tej krzywdy, którą sprawi głaz, zrzucony przez czyjegoś konia z góry; odpowiedzialność spada na właściciela, jak gdyby on sam przyprawił rozważnie o śmierć lub uszkodzenie. To fakty wykazują, iż w podstawie poglądów osetyńskich na zbrodnię tkwi zgoła inny pierwiastek, niż w tegoczesnem europejskiem prawodawstwie kryminalnem. To ostatnie w przestępstwie widzi przedewszystkiem i jedynie zamach przeciw osłanianemu przez się porządkowi prawno-moralnemu; poniesione przez jednostkę szkody są dla niego obojętne i w razie nieobecności zamachu o odpowiedzialności kryminalnej niema mowy, jakkolwiek poszkodowany jest w prawie poszukiwania strat drogą cywilną; nawet gdy czyn nie zostanie uskutecznionym, lecz sprawiedliwość będzie obrażona, niedoszły winowajca odpowiada. Zupełnie inaczej dzieje się w zwyczajowem prawie osetyńskiem. Świadomość lub mimowolność, ta lub inna natura bodźców czynu jest rzeczą obojętną. Grupy rodowe patrzą tylko na jedno — na krzywdę, uczynioną krewniakowi, a po za nim — rodowi. Zamiast kary za dokonany lub niedokonany zły uczynek przeciw prawno-moralnemu porządkowi, mamy jedynie pojęcie szkody, jako podstawę do napiętnowania jakiegoś postępku. Czyn, który w skutkach zbrodniczych spełzł daremnie, pozostaje bez następstw dla niedoszłego winowajcy — karze się lub raczej mści wyłącznie szkodę dokonaną. A zatem obelgi słowne, jako niesprawiające żadnego uszczerbku, uchodzą zwykle za mało karygodne; do szkód materyalnych zaliczają się i te, co dotykają zmarłych i w razie niepomszczenia mogą wywołać u nich rozjątrzenie na krewniaków żyjących, np. zerwanie łańcucha domowego. Lecz dzięki temu, iż pojęcie szkody stanowi probierz karygodności, przestępstwo cywilne, np. niedotrzymanie umowy, i kryminalne, chociażby zranienie, zlewają się w oczach osetyna w jedno — są to czyny, wymagające jednakowego wymierzenia zemsty rodowej, która początkowo dosięgała i ród krzywdziciela i mienie rodowe.

Uczucie zemsty nie znało w owych czasach granic — w ściganiu przestępcy nie szło o wynagrodzenie strat, lecz o nasycenie namiętności, wzburzonych przez krzywdę. Stan rzeczy się zmienia, gdy przechodzimy do zbrodni wśród własnego rodu; zbywa tu chociażby na jednym już czynniku — na łaknieniu zemsty ze strony zmarłych, tak potężnem wobec innorodców. Gwałt, popełniony w rodzie, nie tyle sądzi się ze stanowiska uczynionej szkody, ile z punktu obrażonego porządku prawno-moralnego. Z winowajcą, np. bratobójcą, zrywa się wszelkie stosunki — każdy go unika i odeń stroni; zbrodniarz, dotknięty powszechną wzgardą, opuszcza zazwyczaj siedzibę ojcowską i idzie na tułaczkę po obczyznie.

Mamy więc przed sobą dwa różne systematy, stojące na zgoła odmiennych punktach. Jeden wychodzi z pojęcia szkody, nasyca się zemstą, a w czasach późniejszych powetowaniem uszczerbków i o „karze“ niema wyobrażenia; wyjściem dla drugiego jest obraza moralnego porządku wśród rodu, wynikiem zaś — kara. Ten ostatni stanowi źródło, z którego wyłaniają się zasady nowożytnego prawodawstwa karnego. Różnica taka uwidocznia się w zwyczaju osetyńskim: w razie kradzieży wśród obcych odbiera się ukradzione; wśród swoich — ściąga się karę sześciokrotnie większą nad wartość kradzieży.

W zemście krwawej i wymierzaniu jej mamy do czynienia ze szczątkami czasów najodleglejszych. Zemsta nie znała wtedy żadnych ograniczeń; każda krzywda powodowała odpowiedni szereg czynów natury mściwej, bez najmniejszego wędzidła — czy to pod względem rozciągłości, czy też przedmiotów zemsty. Zabójstwo popełnione przez obcorodowca wywoływało nowe zabójstwo odwetowe; niemowlę i starzec, kobieta i mężczyzna padali zarówno ofiarą; to znowu dawało powód do nowej zbrodni itd., aż do wygaśnięcia którejś z grup walczących. Krwawy charakter nosiła zemsta za wszelką szkodę, i za morderstwo, i za kradzież. Ale w miarę uspołeczniania taka samowolność musiała ulegać ścieśnieniu. Ograniczenie dosięgało przedewszystkiem przedmiotów zemsty. U osetynów odpowiada bezpośredni sprawca i dopiero w razie ucieczki jego na obczyznę dalsi krewniacy aż do niemowląt. Równolegle ścieśnia się zemstę co do rozmiarów; zamiast nieograniczoności sprowadza się ją do zasady: równe za równe, ząb za ząb, oko za oko — do *jus talionis.* Zresztą zasada równości wciela się w życie dla jednych czynów prędzej, dla drugich później: tak, u osetynów zabójstwo, cudzołóztwo wśród obcego rodu, spohańbienie honoru cudzego domu i kastracya jednakowo wymagają odwetu krwawego; lecz już za zranienie zwyczaj nakazuje zadanie stosownej ilości ciosów i ran w odpowiednich miejscach. Dalszym krokiem jest zastąpienie zemsty, wywieranej i na osobach i na rzeczach, przez zgodę pokojową i umówione powetowanie w postaci rzeczowej; zwyczaj to utrwala. Osetyni np. oce-

---

Oj, duma dziewucha, że nie wszystko jest, jak należy. Sama sobie świat zawiązała.

Juści teraz nie czas zrzucić „bury sukmanek.“ A wstyd, a desperacya dla ojców.

Żeby choć za snopkami wysłały, toby uciekła do pokusy; ale jak na złość pan Łonieski przysłał dwie fury zboża i siana dla koni, będzie na jakiś czas. I wyjeżdżać więc nie ma poco.

A Marysia wyjazdu tego czeka, jak zbawienia. Tymczasem ani jednego wieczoru nie posiedzi w klasztorze: Czy jest robota, czy nie ma jej — wszystko jedno, aby tylko za furtę — już pędzi do szewcowej.

U Szczygielskiej nie bywa. Stara zrobiła jej kiedyś uwagę, że na tercyarkę to tylko podżyła kobieta iść powinna, co już i świat pozna dobrze, i ucieczy od niego rada.

— A ty dzieciaku co? Tobie dopiero życie się śmieje, a tyś już ślubowała. A niechno ci teraz jaki chłopak wpadnie w oko? Niechno ci się, mówię, kto spodoba? Oj bieda tobie, a obraza boska.

Marysia przelękła się, zapłakała.

Całowała Szczygielską po ręku, ale już do niej więcej nie poszła.

Bąkowej wszystko donoszą; ona zapewnia, że jest spokojna. Tak jednak tylko mówi.

Kiedyś zagadała o tem ze „swoim.“ Ale Bąk aż się zatrząsł.

— A czym ja tego chciał, czym ci mógł przeperswadować! Dziewusze za mąż, ale nie do pacierzy. Do roboty — ale nie pilnować na wozie użebrane snopki. Jeszcze się— nie daj Boże—na złe puści, zobaczysz! Wstydu nam narobi!

A do siebie mówi:

— Pójdę, odbiorę dziewuchę, takie ja mam do niej prawo, jak i matka.

Poszedł Bąk. Stara ledwo śmierci nie ma, myśląc, co on tam zrobi. Wszystko jej z rąk wylata. To wygląda oknem, to przed sień wychodzi.

Wieczorem Bąk wrócił sam.

Nie opowiadał nic, ani jadł, ani spojrzał na babę, tylko zaraz spać poszedł.

Nazajutrz dopiero krótko oznajmił, że Marysia nie chciała wrócić. Powiedziała, że teraz już za późno, nie czas się rozmyślać, że już ma lata, może sobą sama rządzić.

Nie będzie jej niewolił.

I odtąd w chałupie Bąków dawny spokój. Stary nie zrzędzi, o Marysi nie wspomina.

Czasem tylko mówi, jak by do siebie: wola boska.

W kilka miesięcy do wsi przyjechała nowa tercyarka. Przywiozła Bąkom wiadomość, że Marysia pewno poszła na święte miejsce, bo jej w klasztorze nie ma; że przecież „panny“ nie mogą czekać: wyznaczyły ją do zwożenia zapasów.

A do innych bab rozpowiada różności.

Bąkowa polciała do miasta, do klasztoru, do Szczygielskiej; była i u szewcowej. Wszędzie słyszy jedno: Marysi nie ma i nie ma, a nikt nie wie, gdzie poszła.

I tak dwa gromy uderzyły w starą jeden po drugim: ucieczka Marysi i śmierć męża.

Niedługo po tej smutnej wieści stary położył się do łóżka i nie wstał z niego.

Był on już oddawna lichy, ale cała wieś jest przekonana, że zabił go żal za córką.

Bąkowa tłomaczy sobie, że to przecie niepodobna; umarłaby i ona, bo i jej żal niemniejszy, ale desperuje. W nocy nie sypia, a kiedy śpi, to wciąż stary stoi przed nią i grozi jej, jak za żywa: zgubilaś dziewczynę!

I u spowiedzi była, mszę zakupiła i krzyżem leżała, a stary zjawia się zawsze we śnie.

Baba schudła, straciła rezon. W chałupie rządzi teraz Zośka „dolot.“

Na wsi Bąkowej nie żałują.

— Przewerýjas baba, zgubila taką poczciwą dziewuchę, własne dziecko.

O Marysi nie słychać nic. Przepadła jak kamień w wodzie.

X. X.

niają rany według długości przez nakładanie ziaren jęczmienia. Mówią: rana jest głęboka na 10, 11 itd. jęczmieni i za ziarno przysądzają krowę. W miarę upadku rodowości bliżsi krewniacy płacą coraz więcej, dalsi — coraz mniej. Wysokość wynagrodzenia bywa czasami zaprawdę olbrzymią. Zresztą gdy drobniejsze szkody są już wynagradzane pieniężnie, inne, jak zabójstwo, dawały się zmyć do ostatnich czasów u osetynów jedynie krwią; branie w tych razach wykupu uchodziło za czyn plugawy.

Powyższe ścieśnienia wymiaru sprawiedliwości kroczą zwolna; potrzeba całych stuleci dla wyrobienia pokojowego a rozjemczego prawa zwyczajowego w tej mierze. I jeszcze na schyłku rodowości w podstawie dochodzenia tkwi wciąż dowolność; samowymierzanie, wobec braku instytucyj centralnych, pozarodowych, musi stanowić zasadę, do której bezustannie się odwołują. Zgoda na załatwienie pokojowe sprawy zależy od dobrych chęci rodu pokrzywdzonego, który zamiast przyjęcia wykupu może odwołać się do zemsty; również gdy strona krzywdząca nie chce dać zadosyćuczynienia lub nie spieszy z rozjemczym a już przyjętym wykupem, samodochodzenie krwawe jest jedynem wyjściem. U osetynów, dla załatwienia sporu, wybiera się sąd polubowny, którego zresztą wyroki posiadają o tyle doniosłość, o ile zeń są zadowolone obie strony; w innym zaś razie wybucha samowymierzanie. Właściwie więc jest to instytucya rozjemców.

Postać rzeczy zmienia się z chwilą, gdy z rodowości wychodzi państwo z władzą naczelną ponad rodami. W interesach jego spoczywa powstrzymanie dowolności. Na miejsce owych sądów polubownych bez władzy przymusowej zjawiają się stałe. Zwyczaj, według którego tamte orzekały, zostaje skrystalizowany w prawie pisanem, lecz wszystkie cechy pierwszego: i zasada równości w zaspokojeniu krzywdy, i odpowiedzialność rodowa — spoczywają w podstawie ostatniego. Naruszenie spokoju jest teraz obrazą władzy naczelnej i pojęcie kary zaczyna rozwijać się obok pojęcia szkody. Prawodawstwo karne odłącza się od cywilnego. W początkowych ustawodawstwach pisanych istnieje nawet i samowymierzanie sprawiedliwości; kiedy krzywdziciel nie spieszy ze złożeniem uchwalonego przez sąd wynagrodzenia, barbarzyńskie prawodawstwa germańskie pozwalają pokrzywdzonemu ścigać złoczyńcę na własną rękę. Zresztą przetrwało ono do ostatnich czasów — w pozwoleniu zabicia cudzołożnej żony w objęciach kochanka.

Nie wdajemy się w drobiazgi. Zauważymy, że ustawę karną ustrojów przedpaństwowych rozpatrywaliśmy, o ile tyczy się „obywatelstwa," tj. rodowców. Nierodowcy, np. niewolnicy, są pozbawieni praw i przyrównani do rzeczy. Za zabójstwo odpowiada więc nie popełniający je niewolnik, lecz jego pan, jak w przypadku konia lub wołu, zrzucających głaz z góry. Również u osetynów, dzięki wykluwaniu się klasowości, zauważamy już rozpadanie się *juris talionis* na kilka równoległych szeregów — dla uprzywilejowanych panków feodalnych, wolnego gminu itd.

Kowalewski skreślił dwie epoki kryminalne, a raczej jedną i wywiązywanie się drugiej obecnej. Za probierz w ostatnim razie służy obraza prawno-moralnego porządku; jej kwintesencyą jest pojęcie kary. Ale nowoczesna wiedza, znosząc teoryę wolnej woli, podaje w wątpliwość całą *filozoficzną* podstawę kary; żąda też oparcia karygodności czynu nie na stopniu obrazy prawnomoralnego porządku, ale na rękojmi, którą daje na przyszłość natura przestępcy. Wykluwająca się psychologia zbrodnictwa woła nie o karę za popełnione przestępstwo, lecz o zabezpieczenie społeczeństwa od wybryków zbrodniarza. *Lud. Krz.*

GENIUSZ I OBŁĄKANIE.

II.

Teoryę a raczej zasadę swoją ilustruje Lombroso okazami geniuszów obłąkanych. Stają w tym szeregu: Harrington, Bolyai(!), Codazzi (!), Ampere. Comte, Schumann, Tasso, Cardano, Swift, Newton, Rousseau, Lenau, Szechenyi (!), Schopenhauer. Ostatni musiał być typowym waryatem tej kategoryi, bo znajdujemy nawet jego portret. I cóż on zrobił? Z kilku miast uciekł, obawiając się chorób, często doznawał strachu, nie golił się, lecz wypalał sobie brodę, znienawidził kobiety, żydów i filozofów. Sam zaś „filozofował ciągle nawet z powodu najbardziej błahych rzeczy;" przypuszczał, że zapomocą magnetyzmu można leczyć wszelkie choroby. Ucząc pogardy dla życia, długo żyć pragnął, głosił wstrzemięźliwość płciową, a był nieumiarkowanym; zachwalał czterożeństwo, w którem znajdował jedną tylko wadę — konieczność posiadania czterech teściowych. Uważał się za ofiarę rozgałęzionego spisku profesorów i mawiał: „wolałbym, ażeby robaki gryzły moje ciało, niż profesorowie moją filozofię."

Niezawodnie czytelnik zapyta: gdzie tu są dowody obłąkania? Co najwyżej garść dziwactw, od których nikt nie jest wolnym. Lombroso nietylko nie sprawdza plotek bijograficznych, nietylko nie zna dzieł i życia człowieka, o którym mówi, ale nawet nie stara się między zestawionemi mechanicznie anegdotami zaprowadzić jakiś ład. Tak np. jeśli Sch. lubił kobiety, to „widok ludzi nie sprawiał mu przykrości;" jeśli zalecał czworożeństwo, to nie „głosił wstrzemięźliwości płciowej." Tu (str. 95) miał *on* nabyć swój portret, ażeby go umieścić w osobnej kapliczce, a gdzieindziej (str. 237) — uczynił to *ktoś* z jego obrazem. a oba twierdzenia powołują się na własne słowa filozofa. Co do manii prześladowczej, miała ona swoją podstawę, gdyż rzeczywiście Sch. ucierpiał wiele od „filozofów urzędowych." Przytoczywszy jego najsłuszniejsze w świecie zdanie, że „wszystko, cokolwiek się zdarza, zdarza się w skutek konieczności" — Lombroso powiada: „z tego błędnego spostrzeżenia wyprowadza potem systemat." Trudno o większą naiwność. Naprzód to nie jest błędne spostrzeżenie, lecz pewnik, a powtóre Sch. z niego wcale nie „wyprowadził potem systematu," gdyż taki system był znany od czasu pojęcia prawa przyczynowości.

Inne postacie genialne — zwłaszcza zaś Rousseau, Swift, Tasso — swojemi istotnemi zboczeniami umysłowemi lepiej odpowiadają regule Lombrosa, chociaż i tu zaznaczyć trzeba, że w niektórych obłęd nie rozwijał się równolegle z działalnością zdrową, lecz wystąpił po niej.

„Przykłady waryatów, obdarzonych *geniuszem* poetycznym, humorystycznym itp." (w rozdz. VII) nie przedstawiają ani jednego geniuszu, lecz szaleńców, którzy pisywali zgrabne wiersze, obmyślali przyrządy itd. Toż samo rzec można o „artystach obłąkanych." Natomiast bardzo ciekawym jest rozdział (IX) o „mattoidach-grafomanach." Zajmują oni — według autora — miejsce pośrednie między obłąkanymi geniuszami, zdrowymi ludźmi i właściwymi waryatami. Maudsley nazywa ich „ludźmi z temperamentem obłąkanym," Moreli i inni — „neurozykami dziedzicznymi," Raggi — „neuropatykami." Dzielą się na trzy grupy: zmysłowych, uczuciowych i umysłowych. Pierwszą składają pół-histerycy, pół-hipochondrycy, skłonni do uniesień i nadużyć; drugą—egoiści i okrutnicy; trzecią— gaduły. Naturalnie w każdej są liczne gatunki. Odmianę ostatniej stanowią grafomani i pieniacze. „Ich pisma, oprócz chorobliwej gadatliwości, cechuje zawsze błahość lub niedorzeczność treści, nieodpowiadającej ani stanowisku społecznemu, ani wykształceniu autorów. Ksiądz— deputowany podaje sposób leczenia tyfusu; dwaj lekarze piszą o geometryi hipotetycznej i astronomii; chirurg, weterynarz i akuszer—o aeronautyce, kapitan — o agronomii, sierżant— o terapii, kucharz zajmuje się wyższą polityką, teolog rozprawia o menstrancyi, furman— o teologii; dwaj odźwierni układają tragedyę, a woźny w zarządzie finansów mówi o socyologii." Jak łatwo zauważyć możemy w literaturze naszej, gatunek to bardzo liczny a niewszyscy w nim starają się ukryć swe dzieła, przeciwnie, rozpowszechniają je usilnie.

Podczas gdy obłąkani najchętniej zajmują się poezyą, mattoidzi oddają pierwszeństwo teologii i wogóle naukom oderwanym a nieścisłym. W swojej statystyce Lombroso znalazł zaledwie 3 ateistów; „nie ma jednak wątpliwości— powiada on — że byłoby ich więcej, gdyby ateizm opierał się na absurdzie, bo oto np. spirytyzm tylu ma zwolenników."

Niech nikt nie sądzi, że obłęd mattoidów jest dla każdego widocznym; wielu z nich bowiem używa szerokiego szacunku i sławy. Lombroso naliczył pięciu zajmujących posady profesorskie (nawet w uniwersytetach), trzech było deputowanymi, dwu — senatorami, jeden—radcą stanu, drugi—radcą prefektury, pięciu—księżmi itd. „Należy tu zaznaczyć — mówi autor—ciekawy fakt, że ten, kto poważnie badał pellagrę w ciągu 18 lat i szukał na nią lekarstwa, zyskał tylko pogardę uczonych akademików i szyderstwa gawiedzi, podczas gdy obłąkanym pellagrologom nie brakło nigdy zwolenników i opiekunów, nawet w instytucyach rządowych i w parlamencie. Królikoman np. i kolega jego, wynalazca fitozoow, morbifitozoow i funginy pellagrorodczej, znaleźli poparcie najpoważniejszych dzienników włoskich, a pomysły ich były zalecane przez rady sanitarne i okólnik ministra Mincellego."

Do tej klasy włącza autor kilku pisarzów głośnych: Micheleta, Fouriera, a między innymi także Lemerciera; obłąkanie jego polegało na tem, że „prócz dramatów znakomitych, pisał również takie, w których osobami działającemi są mrówki, rośliny a nawet morze Śródziemne." Według tej zasady wszyscy pisarze fantastyczni są obłąkanymi, a już Shelley, ktory w *Prometeuszu* wyprowadza, jako postacie, ziemię, księżyc, morze i wiatry, jest skończonym waryatem.

W rozdziale X kreśli Lombroso bardzo ciekawe życiorysy „proroków i rewolucyonistów," śród których nadewszystko Lazaretti, maniak, szaleniec, oszust, mianujący się natchnionym, następcą czy zastępcą Chrystusa, szafarzem koron i tronów, reformatorem religijnym i politycznym— wyróżnia się szczególnie. Zyskał on liczne rzesze wyznawców, na czele których odbywał pochody po Francyi i Włoszech. Wydał następującą odezwę: „Zwracam się do wszystkich władców chrześciańskich katolików, schyzmatyków i heretyków, byle tylko byli ochrzczeni. Nie idzie o to, czy są potężni lub czy rządzą państwami, dosyć, jeżeli pochodzą z krwi królewskiej. Wzywam ich wszystkich; pierwszego zaś, który zwróci się do mnie, jeżeli liczy nie mniej niż 20 i nie więcej niż 50 lat i nie posiada żadnej wady fizycznej, uczynię moim następcą." Słowa te — kto by uwierzył — znalazły odgłos: słynny „roy" francuzki wziął je na seryo i wysłał do Lazzaretiego swego ambasadora.

Autor wydobywa naturalnie podobne okazy i z przeszłości, z pomiędzy założycieli rozmaitych sekt (Luter, Fox i in.).

Dochodzimy wreszcie po przedarciu się przez cały las anegdot, opowieści i szczegółów do uwag ogólniejszych. W następujących twierdzeniach zbiera Lombroso „rysy szczególne ludzi genialnych, którzy je-

dnocześnie byli obłąkanymi:" geniusze obłąkane nie posiadają siły (trwałości i jednolitości charakteru), okazują nadmierną pychę, wcześnie dojrzewają, nadużywają narkotyków i rozkoszy płciowych, zdradzają niepokój, zmieniają zajęcia i przedmioty badań, zdobywają się na wielką energię, mają właściwy sobie styl — drżący, namiętny, barwny, zwykle przechodzą walkę religijną, zaprzątają ustawicznie siebie i innych własnem *ja*, dziwacznie układają swoje utwory, rozumują nieprawidłowo. „Ale najbardziej wybitną, szczególną cechą niemoralności umysłowej tych ludzi — powiada Lombroso — jest przesadne natężenie tych dwu stanów przemiennych— erotyzmu i atonii, podniecenia i wyczerpania, które stanowią zjawisko fizyologiczne właściwe *wszystkim prawie* wielkim umysłom, *nawet zupełnie zdrowym*."

Zebrawszy te znaki, widzimy, że istotnie, zwłaszcza niektóre z tych cech, spostrzegamy u ludzi znakomitych i chorych, ale daremnie szukalibyśmy w spostrzeżeniach Lombrosa jakiejś charakterystyki jasnej, wyrazistej, jakichś granic, w których obrębie mieszczą się obłąkani geniusze. Bo nawet owa cecha, uznana przezeń za „najwybitniejszą i szczególną" (podniecenie i wyczerpanie), stanowi zjawisko „wspólne wszystkim prawie umysłom wielkim," nie wyłączając „zdrowych." Co to jest więc „geniusz obłąkany"? Na czem polega jego natura? Usunąwszy z głowy anegdoty — nie wiemy nic, autor pozostawia nas w chaosie drobiazgów, nieuporządkowanych, niezwiązanych żadną regułą. „Między fizyologią człowieka genialnego — mówi on w swych „wnioskach" — a patologią obłąkanego istnieje wiele punktów stycznych (a zatem każdy geniusz jest poniekąd krewniakiem waryata). Są genialni szaleńcy i obłąkani geniusze. Ale *było i jest* wielu ludzi genialnych, którzy oprócz pewnych anomalij wrażliwości, nie wykazują *ani śladu* choroby umysłowej" (a zatem znowu nic, każdy geniusz ma „punkty styczne" z waryatem). Zgadnij teraz biedny człowieku, czego powinieneś się trzymać! Stokroć biedniejszym jesteś, jeśli przy czytaniu książki Lombrosa nie opuściła cię pamięć; bo gdy na str. 254 dowiesz się, że geniuszami, którzy „nie przedstawiają *ani śladu* obłąkania," są: Galileusz, Kepler, Kolumb, Voltaire, Michał Anioł, Napoleon, Cavour, przypomnisz sobie, że w rozdz. II na str. 12 i następnych Voltaire i Napoleon występują ze znamionami obłędu. Kto tedy jest właściwie zdrów?

(D. n.)

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Koralina. *Flisak*, powieść. Warszawa.

Miłośnicy spokoju, nie lękajcie się tej „oryginalnie" napisanej powieści. Jest ona bowiem bardzo nieoryginalną. Obywatelska rodzina Zaglewskich przyjmuje na wychowanie dorodnego chłopca flisackiego Tomka, który wyratował życie córeczce ich Hance. Po paru latach znajomości ogarnia Tomka płomienna miłość dla dziewczyny. Ona mu się odwzajemnia i poprzysięga zostać jego żoną. Ale na rękę jej zastawia sidła kuzynek Adzio, istne wcielenie czarnych przymiotów ducha, wyrachowany samolub, pochlebca i intrygant. Despotyczny dla wszystkich ojciec Hanki staje się posłusznem narzędziem w rękach przebiegłego kuzynka: pod błahym pozorem nakazuje Tomkowi opuścić swój dom, a gdy ten oświadcza, że jest od pół roku narzeczonym Hanki, Zaglewski wymusza od swej córki pismo, w którem daje ona odprawę narzeczonemu, chociaż nie przestaje go kochać. Adzio zagarnia w swoje ręce cały zarząd gospodarstwem i po śmierci wuja, którego zgryzoty sumienia wpędzają wkrótce do grobu, zostaje z ostatniej woli zmarłego opiekunem jego dzieci, a zatem i ich majątku. Wdowa jednak od interesów się usuwa, syn zaś jej Lucyan dopiero za parę lat dochodzi do pełnoletności, więc Adzio zanurza majątek w odmęcie długów, niszczy ziemię i budowle, ażeby jak największe dla siebie wyciągnąć zyski i prowadzić wesołe życie. Tymczasem Lucyan postanawia odszukać Tomka, o którym wszelka wieść prawie przepadła i po roku nieustannej włóczęgi sprowadza go jako właściciela statku „Huraganu." Tomek po opuszczeniu Zaglewskich dostał obłąkania, z którego jednak wyleczył się po upływie roku. Wówczas wrócił do swoich rodziców, lecz niespodziewane zjawienie się mniemanego nieboszczyka tak wstrząsnęło nerwami jego ojca, że ten po paru dniach zmarł a za nim matka Tomka, zostawiając go jako jedynego opiekuna córki swej Joasi i czyniąc go tym sposobem niewolnikiem życia. Po odzyskaniu Hanki niewola ta zamienia się w raj i Numa zaślubia Pompiliusza. Jednocześnie Lucyan dochodzi do pełnoletności i wypędza Adzia z dziedzictwa, ratując je z toni długów szlachetnie zaofiarowaną przez Tomka pożyczką; bo trzeba wiedzieć, że Tomek był nietylko szczęśliwy w miłości, ale i w interesach i na swoim romantycznie zrozpaczonym i rozszalałym „Huraganie" zrobił dużo grosza.

Widzimy więc, że pomysł utworu jest bardzo niewymyślny i niekunsztowny. Na nieszczęście inne jego przymioty nie wynagradzają tego niedostatku. Psychologia autorki bardzo pierwotna. Adzio np. jest uczernionym od stóp do głowy. Nie posiada żadnych zalet prócz wytwornych manier i złośliwości, której zresztą nigdzie bezpośrednio nie oglądamy. Nosi przytem w swym charakterze wiele rysów sprzecznych. Ma być zimnym egoistą, przebiegłym i wyrachowanym, a jednocześnie marnotrawcą, hulaką, tak dalece, że w chwili kiedy zostaje wyrzucony nie ma ani grosza i litościwej sturublówce Lucyana zawdzięcza ocalenie od żebraczego losu. Nic to jednak w porównaniu z misterną tkanką miłosnych uczuć Hanki. Z początku ma ona dla Tomka jedynie przyjaźń braterską. Z czasem do tego uczucia przyłącza się inne, nieuświadomione tak dalece, że bohaterka leżąc z chłopcem na murawie i głaszcząc jego włosy, nie doświadcza przytem żadnego niepokoju. Gdy zaś Tomek podczas jednej przechadzki wynurza jej nagle swoją miłość, Hanka odpowiada mu długą tyradą o stałości i nagle... kończy oświadczeniem, że... gotową jest na małżeństwo. Wogóle cała ta przemowa, odmykająca bohaterom powieści wrota do nowego życia, sucha i retoryczna, sprawia wrażenie jakiegoś ustępu kontraktu, w którem strony na wypadek pewnego obrotu interesów zapewniają sobie możność poślubienia się.

Dziwne jest też pojmowanie autorki sprężyn, jakie poruszają postępkami jej własnych bohaterów. Adzio przymawia raz Zaglewskiemu, że przyjął na wychowanie nieokrzesanego Tomka. Zaglewski uczuwa nagle wstyd wobec „arystokratycznego" bratanka i od tego czasu zmienia swoją rolę opiekuna. Autorka, oświetlając to zajście, powiada: „Dziwna rzecz, że jedna chwila, jeden jakiś *nic nieznaczący wypadek zmienia przekonania* ludzi niekiedy najrozumniejszych."

Wogóle poglądy p. Koraliny na rozmaite pojawy życiowe są w wysokim stopniu konwencyonalne, naiwne lub mgliste. Zastanawia ją, że „dwaj przyjaciele nie mieli nigdy sposobności ocalić życia jeden drugiemu lub wyświadczyć jakąś bohaterską przysługę, *mimo to* przyjaźń ich była niezmienną i prawdziwą." Adzio „z rozpusty stawał cię co godzina straszniejszym sceptykiem." Co za mądry rodowód sceptycyzmu! Pierwsza miłość Hanki była „prawdziwą, anielską, niewinną" (!?) — itd.

Tej powszedniości nie wynagradza nawet żywotność wyprowadzonych postaci. Są to albo szablonowe typy wcielające niegodziwość lub szlachetność papierową, albo rozpływające się we mgle sylwetki.

Najlepiej stosunkowo wypadła strona czysto formalna utworu, tj. styl i język, ale tylko stosunkowo. Jest on ogólem wziąwszy gładki, potoczysty, ale, jak wspomnieliśmy, razi retoryką, porównania i barwy są albo niesmaczne, albo oklepane. Nie brak też sporej garstki zwrotów bardzo nieudatnych i wyrażeń błędnych.

W. Kostyn.

LITERATURA RUSIŃSKA.

O. Stodolskij. *Etnografija słowianszczyzny.* Lwów, 1887.

Jest to osobna odbitka z fejletonów gazety *Szkilna czasopyś.* Tytuł zapowiada więcej, niż daje tekst, w którym na str. 3—48 mamy szkice etnografii wielkorusów, a na str. 49—69 białorusów. Dwa rozdziały napisane są nadzwyczaj żywo i barwnie, a oparte na badaniu starannem. Przedstawia tedy autor naprzód geograficzne rozsiedlenie się plemienia ruskiego, wylicza plemiona nieruskie, zamieszkujące Rosyę, a następnie przystępuje do charakterystyki wielkorusów i kreśli obraz ich strony fizycznej, mieszkań, odzieży, pożywienia, dalej obraz strony duchowej, zwyczajów, pieśni, tradycyj, pojęć religijnych itp. Praca gruntowna i zarazem popularna. Nieco słabszą i uboższą w materyał jest etnografia białorusów. Język prześliczny i rzecz czyta się z wielkiem zajęciem.

Zaklinśkij Roman. *Geografija Rusy.* Czast' persza: Ruś hałycka, bukowyńska i uhorska. Wyd. tow. „Proświta." Lwów, 1887.

Całkiem odmiennie wypaść musi sąd o tej sporej książce p. Zaklińskiego, wydanej przez towarzystwo „Proświtę," a więc także dla ludu. Nie jest to ani książka popularna, bo przeczytawszy w jednym ciągu kilkanaście jej stronic, chłop każdy zaśnie lub dostanie zawrotu głowy — taką masę suchych dat, nazwisk i luźnych faktów wpakował w nią autor. Lecz i jako praca ściśle naukowa jest również bez wartości; brak jej bowiem wszelkiej metody w porządkowaniu dat, brak ścisłości w wyrażeniach i jakiej takiej krytyki tych danych, które autor napotkał w różnych drukowanych rozprawach, skąd je też żywcem czerpał. Podniesiemy parę dziwolągów. I tak sarna obok jelenia należy wedle p. Z. do zwierząt gdzieindziej wygubionych, a żyjących tylko w Beskidzie (str. 7). Bołdy napotyka autor w Uryczu, Bochurczu, Bubniszczu i Polanicach (? wieś odnośna nazywa się Polanica, nie Polanice), a opisawszy bołdy polanickie, dodaje: „W Bubniszczu wszystko jest takie same, jak w Polanicach, tylko mniejsze" (str. 17). Tymczasem bołdy w Bubniszczu są te same polanickie, które leżą na górze, na granicy Bubniszcza i Polanicy i jedni nazywają je imieniem jednej wsi, drudzy drugiej. „Góra Howerla jest ośrodkiem największych wichrów (orkanów)" (str. 25). Podole galicyjskie jest, według autora, całe wielką równiną (str. 32 i dalej), co mógł napisać tylko człowiek, który nigdy nie widział Podola galicyjskiego i sądzi o niem z samej nazwy. Do zwierząt szkodliwych na Podolu zalicza autor także „ogromnego węża, zwanego połozem" (str. 36), który w rzeczywistości jest mytem rozszerzonym po całej Rusi galicyjskiej. W górnym biegu, wedla autora, „woda dniestrowa płynie bardzo prędko i z szumem rozbija się po skałach i parowach" (str. 49), co jest niemniejszym mytem od owego położa, gdyż właśnie

w swym górnym biegu Dniestr ma charakter rzeki podgórskiej.

Te przykłady, wypisane z kilkudziesięciu pierwszych stronic książki, wystarczą dla pojęcia jej naukowej ścisłości. Zresztą nie można zaprzeczyć, że autor zadał sobie wiele trudu, zebrał mnóstwo ważnych i ciekawych dat, chociaż ich opracowanie pod każdym względem wiele pozostawia do życzenia. Do książki dodaną jest też mapa Rusi galicyjskiej, węgierskiej i bukowińskiej. Po co ją umieszczono, zgadnąć trudno, gdyż do żadnego użytku się nie nadaje i rzeczywiście wstyd przynosi litografii p. Kostkiewicza we Lwowie, w której została sporządzoną.

Iwan Franko.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wszystko pomieszało się. — Na co poszły majątki ziemskie według rzeczoznawców niepodejrzanych. — Budzący się krytycyzm. — Ludzie, którzy nie wątpią. — Żaba w głowie. — Jubileusz papieski. — Deszcz odpustów. — Przekazy na niebo. — Śpiący maszyniści. — Szkody zrządzone przez znakomitych śpiewaków i śpiewaczki. — Przyszła kwestya.

Teraz już zupełnie straciłem miarę, gdzie się kończy prawomyślność i poszanowanie ojczystego gniazda, a gdzie się zaczyna warcholstwo, bluźnierstwo przeciwko tradycyi i znieważanie stanów przodujących w narodzie. Nieraz, jak owemu burszowi w balladzie studenckiej, któremu po wyjściu z „Wirtshausu“ ręka lewa zamieniła swoje miejsce z prawą, a latarnie ustać nie mogły — tak i mnie często pisma konserwatywne przedzierzgają się w oczach na postępowe, a postępowe na konserwatywne. *Alles vertauscht!* Ktoby przed rokiem jeszcze miał sen tak fantastyczny, że *Przegląd* (lwowski), w którego łzach niby w rosie majowej myła się codziennie kochanka — „większa własność ziemska“ i oddychała jego kadzidłami, wystąpi przeciwko niej i że jego akt oskarżenia przedrukuje *Gazeta warszawska*, którą każdy rzetelny szlachcic w testamencie swoim synom zaleca? Żadna *Prawda* kwaśniejszym octem swej gąbki nie napoi i przybitym gwoździami nizkich cen zboża na kilkudziesięciowłókowym krzyżu nie poda. Bo posłuchajmy, co te organy grają przy nabożeństwie żałobnem za grzeszników poznańskich: „W którąkolwiek stronę kraju spojrzeć, wszędzie stoją przed oczami *całe szeregi* wielkich majątków, zniszczonych *bezrządem*. Zbytek ujawnia się zwykle w formie *najbardziej nizkiej*. Nie są to ekscentryczne zachcenia, nacechowane zamiłowaniem prawdy, piękna lub sztuk pięknych, przechodzące siły majątkowe. Takich wyższych gustów, dających urok życiu, takich żądz szlachetnych, po których przynajmniej pozostaje ślad umysłu wykształconego, dla kraju jakaś pamiątka, *niema teraz zupełnie*; na takie ekscentryczne wybujałości ducha nie poszła *żadna fortuna*. Ileż jednak poszło ich i *idzie* na udawanie wielkiego państwa, na uleganie *grubym namiętnościom*. Płaski i płytki egoizm, pycha nadęta a próżna niszczy kraj, ziemię zaprzedając wrogom.“ Nie dość tego, oskarżeniem objęta i opinia publiczna, która zamiast „piętnować brudne i bezmyślne życie,“ osłania je wyrozumiałością.

Głupi ten, kto mniema lub głosi, że widok gnicia jakiejkolwiek warstwy społecznej sprawia mi zadowolenie; gdy arka pływa po wodach potopu, trzeba ją łatać, ale nie wydzierać i nie rzucać w topiel nawet nadpróchniałych belek. Trudno wszakże obronić się szyderczemu uśmiechowi, gdy prasa konserwatywna nawraca się na wiarę postępowej, chwyta jej bicz, który tylokrotnie znieslawiała i podpisuje jej skargi. Nie płoszmy tej krytyki śmiechem, niech ona wprowadzi głębiej swój skalpel, niech porozcina chorobliwe narośle.

Biskupem wrocławskim mianowany został dr. Kopp, ten sam, który budował most zgody papieża z rządem pruskim, ten sam, który swojemi mowami w Izbie panów wywołał szemrania śród centrum. Zdawało się, że już przynajmniej ten przyjaciel Bismarka nie nakarmi nadziei katolików polskich. Gdzie tam! Łatwiej muchę przekonać, że zginie od słodkiej trucizny, niż owcę papieską naszego chowu, że pod sutanną wilk się ukrył. *Gazeta polska*, której korespondenci posiadają niezwykły talent wiary w patryotyzm polski księży niemieckich i nałóg powątpiewania o ich najoczywistszem prusactwie, mówiąc o deputacyi „owieczek szlązkich“ pod wodzą hr. Matusiaka, proszącego jego biskupią mość o opiekę, pisze: „Nie mamy *żadnego* powodu obawiania się ze strony nowego dostojnika kościelnego wręcz przeciwnych uczuć dla polskich katolików górnoszlązkich, jak niemniej dla sporej liczby czechów, morawian i wendów w granicach jego dyecezyi żyjących. Owszem, *nie wątpimy*, że zaciekłość, z jaką usiłują odjąć im teraz ojczysty ich język, *zniewoli* arcypasterza do użycia wszelkich *zależnych od niego środków*, aby pokrzywdzeni szlązacy znajdowali przynajmniej obronę w powadze kościoła, którego najpierwszym obowiązkiem (Leon XIII inaczej o tych obowiązkach myśli!) jest przecież nieść pomoc. Wiele pism a między niemi i *Gaz. polska* również „nie miała żadnego powodu obawiać się“ ks. Dindera i również „nie wątpiła,“ że on „użyje wszelkich środków“ dla obrony praw języka polskiego, a p. Dinder za tę ufność wywdzięczył się... zgodą na wykład niemiecki religii w szkołach i katechizmem niemieckim. Teraz w niebieskie migdały przybrano sojusznika Bismarkowskiego, niemca z krwi i kości, który w życzliwości dla polaków ma pójść dalej, niż arcybiskup poznański. Jeśli to złudzenie szczere, zawołać trzeba: *o, sancta simplicitas!* Czy wszakże złudzenie to jest nieszkodliwe? Bynajmniej. Wpaja ono i podtrzymuje w umysłach słabo oświeconych błędne mniemanie, że księża wszelkiego gatunku z urzędu i stanowiska są obrońcami narodowości polskiej a tym sposobem pędzi pod ich często zdradne kierownictwo masy. Po co oni mają dziś zważać na tę owczą pokorę, która zawsze, cokolwiek zrobią, schyli głowę? Dindery, Koppy, o ile uczuwają w sobie jakąś narodowość, są niemcami, którzy w głębi duszy pragnęliby Poznańskie i Szlązk zgermanizować.

Pozostanie zawsze między nami znaczna liczba maniaków politycznych, których to rozumowanie nie uleczy, nawet gdy życie faktami dowiedzie jego słuszności. Trzeba się z tą chorobą pogodzić. Zawiedzie Dinder, uwierzą w Koppa, zawiedzie Kopp, uczepią się Melchersa — i tak dalej, jak ów chory, który sądził, że ma żabę w głowie, a gdy mu kazano kichnąć nad miednicą i żywą żabę zręcznie w wodę wrzucono, odrzekł: ale ona zostawiła mi w głowie jajka... „Arcypasterże“ jako nasi zbawcy nigdy, nigdy nie wyginą.

Zazdrościć im można, do jak skromnej odpłaty obowiązani są za okazywaną im miłość. Dość gdy westchną, pobłogosławią lub wystawią przekaz na niebo. Zwłaszcza przekazami tymi hojnie szafuje najwyższy z owych arcypasterzów—rzymski. Na dzień swego jubileuszu wzywa on wiernych, ażeby ze wszystkich krajów świata przybywali do niego, za co obiecuje im odpust zupełny. Mniejsza o kieszenie arystokratów, którzy na tę politykę religijną znaczne sumy stracą; ale iluż to biedaków na pielgrzymkę do „ojca św.“, który chce nimi ozdobić swoją uroczystość i pokazać bezbożnym włochom swą siłę, obedrze się z ostatniego grosza— dlaczego? Dla mary, dla fikcyi, dla złudnej nadziei zbawienia duszy. Jeśli Leon XIII chce koniecznie odbyć przegląd swej armii i wykonać z nią manewry, powinien ją uruchomić własnym kosztem, zwłaszcza że ma na to środki. „Opierając się na miłosierdziu Wszechmocnego— powiada on (według *Wieku*) — i na *władzy* Jego świętych apostołów Piotra i Pawła, udzielamy w Panu zupełnego odpustu i zmazania kary doczesnej za grzechy wszystkim wiernym obojga płci, którzy z okazyi jubileuszu Naszego kapłaństwa przybędą do Rzymu, aby złożyć publiczne i jasne świadectwo pobożności i przywiązania *swego narodu* i oddać winną cześć i posłuszeństwo *najwyższej władzy*, którą nam Bóg udzielił.“ Sam Bóg biblijny, ukazując się wybranym, nie przemawiał tonem równej dumy. Leon XIII— to nie człowiek, nie arcykapłan, nie „sługa sług,“ ale Jehowa, zstępujący z niebios ze światłem w obliczu i piorunami w dłoniach. Niech się bawi, my mu tylko tę zabawę przerwiemy skromną uwagą, że pomimo dywanu od dam warszawskich, pątnicy polscy, którzy powędrują do niego, oddadzą mu „cześć i posłuszeństwo „tylko w imieniu własnem, ale nie w imieniu „swego narodu,“ który mu tak wiele zawdzięcza, że musiałby „ojciec św.“ odbyć pieszo drogę do Poznania, ażeby od nas otrzymał „odpust zupełny.“

Bądźmy wszakże sprawiedliwi: że papież rozdaje szczodrze te weksle na niebo z rozmaitymi terminami (najmniejsze 300 dniowe), nic dziwnego; te obroty dają mu dochód i władzę; ale że świat przypatruje się tej komedyi z poważną miną — to smutne!

Nie tak wysoko, ale na nędznym padole spraw ludzkich chciałbym wyjednać bodaj cząstkowy odpust dla dwu grzeszników, którym grozi kara. Na stacyi Kowel (drogi Nadwiślańskiej) pociąg towarowy ku zdziwieniu służby nie zatrzymał się, lecz popędził dalej i stanął dopiero wstrzymany przeszkodą, strzaskawszy kilka wagonów. Okazało się, że jego maszynista i pomocnik zasnęli. Niewątpliwie wykroczyli przeciw obowiązkowi, oddani też zostali pod sąd. Ale zanim tam rozpoznaną będzie ich wina, radzę opinii, ażeby się nie spieszyła z wyrokiem. Bo zachodzi pytanie, czy ci ludzie nie musieli zasnąć? Wielokrotnie w prasie i w zarządach kolejowych poruszano kwestyę długości dnia roboczego maszynistów. Każdy przyzna, że zarówno w interesie ich doli, jak i w interesie dobra publicznego należy skrócić czas trwania tej pracy w zakresie doby do możliwych granic. Człowiek samym duchem pociągu prowadzić nie może, lecz musi wieźć ciało, które ma nieugięte potrzeby. Stanie w nocy na lokomotywie, przy chłodzie lub skwarze, nieprzerwanie wytężona uwaga, trudy fizyczne — jeśli po kilku godzinach nie znużą, to osłabią znacznie czujność. Otóż trzeba wiedzieć, ile godzin z rzędu oskarżeni maszyniści pełnili swe obowiązki? Wiadomość ta jest tem ważniejszą, że droga Nadwiślańska namiętnie zaprowadza teraz oszczędności, które aż do obsługi lokomotyw sięgnąć mogły. Według mnie, czas pracy dziennej na maszynie kolejowej powinien być ściśle określony prawem stałem a wykroczenia przeciwko ustawie tak karane, jak np. łamanie przepisów o robotnikach fabrycznych. Ten środek zapobiegłby nadużyciom i nieszczęściom. Dziś trudno siąść spokojnie do wagonu, nie mając pewności, czy maszynista jest wyspany.

Niestety, są klęski od których żadne prawo zasłonić nie zdoła. Do Warszawy przyjechały słynne śpiewaczki, panny Barbi i Russel, potem mają przybyć inne a nawet Kochańska. Jest to wielkie nieszczęście! Zauważyłem bowiem, że po każdej bytności u nas znakomitych śpiewaków wydobywa się szeroki potok manii śpiewaczej. Mierzwiński każdym występem gubi setki mężczyzn, Kochańska — setki kobiet, które nagle dziwią się, że dotąd nie uprawiały swych przecudnych gło-

sów. Wyjeżdżają więc do Drezna, Paryża, Medyolanu, gdzie tracą resztki zasobów, aby za lat parę ze „szkołą“ w gardle pomnożyć zastępy „ofiar niesprawiedliwej krytyki.“ Przed oczami mojemi przesunął się długi szereg tego rodzaju ofiar. Jedna z nich, nad którą szczerze litowałem się, że ma w nosku jakiś tłumik, pożegnała mnie zapewnieniem, że wkrótce wróci „lepsza niż Russel,“ od — Lampertiego, tego najstraszniejszego demoralizatora artystycznego naszych zięb, pragnących zostać słowikami. Jeżeli jakaś siła potężna nie zatamuje tego pędu ku sławie wokalnej, zobaczycie, że do tylu innych kwestyj przybędzie nam jeszcze jedna — śpiewacka, a *Kuryery* rozprawiać będą nad zagadnieniem: co zrobić z 20,000 uczennic Lampertiego, które głosu nie mają?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nasze wykształcenie i literatura rolnicza. — „Sami dla siebie“ (hasło organu ziemiańskiego). — Złudzenie *Gaz. rolniczej*. — Wzorowy proboszcz. — Pianka *Gaz. radomskiej*.—Pożyczki spadkowe dla włościan.— Ochronki dla dzieci wiejskich bez opieki. — Co szlachcianki robiły? — Ostrożność chłopska. — Poeta w sermiędze. — Bogacze. — Zbój niemiecki i pokrzywdzona nauczycielka. — Wstręt lekarzy do prowincyi. — Fakty ich usprawiedliwiają. — Bywa inaczej. — Lekarze-kupcy. — Hrabia i czynszownicy.

Gazeta rolnicza zwróciła uwagę na istotną i najważniejszą przyczynę materyalnego upadku ziemiaństwa: nizki poziom wykształcenia specyalnego. Są dwie szkoły wyższe: jedna w obrębach Królestwa, druga prawie na jego granicy. W pierwszej — nie wszyscy kształcą się z korzyścią „dla rożnych powodów.“ Druga *mogłaby* uczynić zadość wymaganiom rolnictwa, bo nie stoi niżej od wielu akademij niemieckich, ale główną jej wadą, że leży o miedzę i niema piętna instytucyi cudzoziemskiej. Dla ocalenia tonących organ ziemiański występuje z hasłem: „sami dla siebie!“ Dobra rada, szkoda tylko, że ładnie brzmiące wezwanie nie każdego ze snu wyrwie. Myślą przewodnią *Gazety* jest wdrożenie rolników do samouctwa specyalnego. Zanim to nastąpi z pożytkiem, szlachta musi zrodzić wielu bohaterów... nauki, którzyby ze śmieci i starych szmat oczyścili literaturę rolniczą. Smutnie się ona przedstawia! „Utwory oryginalne — powiada pismo ziemiańskie— przeważnie albo nie posiadają żadnej wartości, albo, co gorsza, nagromadzonemi niedorzecznościami, ciemnym i niesystematycznym wykładem, przestarzałymi już dziś całkowicie poglądami bałamucą mało wykształcony i nieposiadający wyrobionego sądu krytycznego ogół, dając mu zamiast pożywnego pokarmu — truciznę.“ A tłomaczenia? Mozolą się ludzie nad przyswojeniem dzieł głośnych z kilkakrotnych wydań, ale przestarzałych. Są u nas pisma rolnicze. Ale *Gaz. rolnicza* zwraca uwagę na mizerną wartość wydawnictw peryodycznych, poświęconych gospodarce wiejskiej. „Szczególnemu tylko zmysłowi praktycznemu naszych gospodarzów zawdzięczać należy, iż ci z nich, którzy z nieprzygotowanemi studyami naukowemi umysłem karmią się przeważnie peryodyczną literaturą rolniczą, nie postradali jeszcze zdrowego sądu o rzeczach i niekiedy nawet nieźle prowadzą swoje gospodarstwa.“ W innych krajach istnieją akademie, wydziały ministeryalne, stowarzyszenia rolnicze itd., które wyszukują specyalistów, polecają im opracowywanie najpotrzebniejszych w danej chwili książek i oceniają je sumiennie. A u nas? Organ ziemiański, pamiętając o swem haśle: „sami dla siebie,“ znajduje jedyny punkt wyjścia: sekcyę rolną Towarzystwa przemysłu i handlu. Instytucya ta ma być areopagiem dla samouków. Zaszczytny ciężar! Czy tylko nie nad siły stowarzyszenia?

Gaz. rolnicza dostrzega histeryę w pewnej części naszej prasy, piętnującej karygodne czyny „uprzywilejowanej“ klasy. Aby ogół płochliwy nie upadł zanadto na duchu, radzi staranne ukrywanie trędowatego ciała, a świecenie maską. Nałogiem naszym stała się ślepa babka. Bawimy się chętnie swą doskonałością... w mroku. Dla uniknięcia bolesnego uczucia przy rozproszeniu się uroczej złudy, radziłbym zapamiętać historyę młodzieńca, który podczas nocy znalazłszy w karetce pocztowej jakąś pulchną i delikatną rączkę, obcałowywał ją namiętnie i przyciskał do serca. Zgorzał ze wstydu, gdy przy świetle dziennem spostrzegł, że właścicielem pieszczonej dłoni jest drwiący... mężczyzna.

Dawajcie nam piękne wzory działalności społecznej jednostek. Z przyjemnością ogłosimy je bez uprzedzania się do warstw i stanowisk. Nie pokrywamy milczeniem takich faktów.

Korespondent *Wieku* w kieleckich stronach, przejeżdżając przez wieś Chlewice, miał sposobność przyjrzeć się ślicznej scenie. Była niedziela. Przed plebanią zebrało się liczne grono włościan obojga płci. Młody proboszcz czytał i wyjaśniał artykuły *Zorzy*. Zgromadzeni słuchali z zaciekawieniem i uwagą. Posiedzenia takie odbywają się co niedzielę i święta po nieszporach na ganku przed plebanią, w razie zaś niepogody w mieszkaniu księdza. W każdej parafii — powiada świadek—zbieraloby się grono (coraz większe), gdyby nie brakło pojmujących tak wzniośle obowiązek „nauczania maluczkich,“ jak zacny kapłan w Chlewicach. Podobno włościanie tak polubili odczyty, iż zamiast do karczmy, tłumnie zgromadzają się przed domem pasterza. Mieszkańcy tej wsi, używający niegdyś smutnej sławy, dziś są wzorem dla innych.

Sprawy ludu zaczynają przenikać coraz bardziej do konserwatywnej prasy. *Gazeta radomska*, dotąd starannie omijająca ten przedmiot, ubiła lekką piankę z kwestyi chłopskiej. Zamiast wyświetlania wielomównych faktów, sypie czczymi ogólnikami. Robi nowe odkrycia i zadawala się tak ścisłem określeniem: „chłopi są dobrzy i źli, szlachetni i podli.“ A ich przewodnicy mają inną klasyfikacyę?

Ciekawsze od mdłej pianki poważne traktowanie przez *Gaz. warszawską* spraw pożyczek spadkowych dla włościan. Pan H. W. na podstawie znajomości stosunków Królestwa utrzymuje, iż najpierwszą przyczyną zubożenia, a więc i odłużenia ludu polskiego jest sprzeczność w przepisach praw obowiązujących. Kodeks cywilny stanowi równy podział majątku pomiędzy dziećmi zmarłego właściciela ziemi. Przepisy zaś o podzielności osad włościańskich przy ograniczeniu nie pozwalają na równy podział ziemi spadkowej. Sprzeczność ta sprawia, że spadkobierca pozostający przy gruncie, musi obciążyć długiem osadę na tyle, ile sched spłacać potrzeba, a jako właściciel, pozostaje zaledwie przy małej cząstce własnego kapitału. Rozmiar długu idzie w stosunku prostym do ilości sched. Im wyższe odłużenie, tem trudniejszy byt. Następują areszty, wywłaszczenia, nareszcie posiadacz kilku morgów (z podziału) staje się nędzarzem. Nieuchronne to w kraju niezasobnym w kapitały. Drobny dziedzic, zadłużony, procentów nie płaci, bo mu na to dochody nie wystarczają, a więc należność i ciężary rosną, aż przygniotą zupełnie nieszczęśliwego spadkobiercę. Ażeby temu zapobiedz, p. H. W. radzi utworzenie instytucyi dla włościan na wzór Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Pożyczka udzielana co pokolenie (co lat 25) do $^3/_4$ lub $^4/_5$ szacunku, w wyłącznym celu spłaty współspadkobierców, byłaby niesłychaną ulgą. Skarb państwa, znajdując zupełne bezpieczeństwo na samej ziemi włościańskiej, mógłby dawać pożyczki w biletach bezprocentowych, sam zaś nizkie odsetki, jako prowizyę i amortyzacyę od dłużników swoich pobierać bez potrzeby dzielenia się z posiadaczami biletów. W ten sposób instytucya rządowa, w celu wyrwania włościan z lichwy miałaby za zadanie: 1) przy dziale spadków włościańskich dawać pożyczki na grunty, będące przedmiotem podziału; 2) pożyczki udzielać w biletach skarbowych bezprocentowych; 3) od dłużników wszakże pobierać 2—3% rocznie i 1—1½% na umorzenie; 4) zakres działania instytucyi ograniczać się winien do własności małej (niżej jednej włóki; 5) każda gubernia stanowić winna osobny oddział instytucyi, a w powiatach posiadać specyalnych delegatów-taksatorów; 6) taksatorowie dają kwalifikacyę co do wysokości pożyczek, które zatwierdza władza odpowiednia; 7) wypłata następuje w kasach powiatowych. Te same kasy przyjmują należność od dłużników. Projekt ten, jeśli znajdzie posłuch, może przynieść więcej korzyści, niż bajania życzliwo-protektorskie tych, co z tytułu kupowania pracy chłopskiej, poczytują się za wyłącznych znawców ludu i jego interesów.

Żal mi nieraz tej bibuły, na której widzę rozlanie żółci szlacheckiej z wyczerpaniem energii. Zamiast dąć z wysiłkiem w trąby na tych, co „bronią jednej tylko klasy,“ czy nie lepiej byłoby dokładnie poznać „dobrze sobie znaną“ *chatę*? Nie dość w liście do redakcyi donieść, że dziecko utonęło w kałuży, zjedzone zostało przez świnie, spaliło się, przebiło na płocie, podpaliło gospodę itd. Nie zawadziłoby oddawna już rozszerzyć skurczone serce i zamiast notowania tej kroniki wypadków postarać się, aby jej wcale nie było. Według pism petersburskich, opracowano przepisy obowiązkowego urządzenia w każdej wsi ochron dla dzieci. W tym celu ma być wyznaczone codzień inne domostwo, gdzie gospodyni będzie kolejną opiekunką. Rozkład domów i dni winien być przez zarząd gminy przygotowanym i oznaczonym. Straż ziemska reszty dopilnuje.

Kronikarz *Dziennika łódzkiego* widzi „zdolności parlamentarne“ u włościan nawet niepiśmiennych na mocy następującego faktu: Na zebraniu gminnem w Kruszynie (gub. piotrkowska) postanowiono zobowiązać wszystkich gospodarzy, aby nie przyjmowali żydów na mieszkanie, a pozostających dotychczas, usunęli ze swych domów i gruntów w przeciągu miesiąca pod karą 25 rs. na rzecz leczenia biednych mieszkańców gminy. W powodach wymieniono, że izraelici przynoszą szkodę przez oszukaństwa i lichwę. Przeciwko temu postanowieniu skazani na wygnanie wnieśli protest do komisyi włościańskiej w Piotrkowie z zasady, że zebranie wyszło z granic kompetencyi przepisanej ustawą z r. 1864 o urządzeniu gmin wiejskich. Gdy przyszło do podpisania protokółu, obecni włościanie odmówili położenia znaków krzyża z obawy, aby jako niepiśmienni nie potwierdzili tego, czemu zaprotestowali. O zdolnościach parlamentarnych niema co mówić, ale bądź co bądź lud ten dowodzi przezorności odnawianej mu przez wielu, a budzi żal, że w ciemnościach musi na palcach chodzić.

Szczęśliwy ślimak, gdy w twardej skorupie nie czuje na sobie stopy ludzkiej lub zwierzęcej; biada, gdy na świat wyjrzy. Nie ujdzie szwanku. Boleję zawsze nad ubóstwem, składającem wiedzę, uczucia i godność osobistą na ofiarę cielcom złotym. W takiem położeniu bywają nauczycielki. Żadna jednak nie doznała dotychczas takiego poniżenia i męczeństwa, jak panna G., warszawianka u niejakiego von D., właściciela dóbr S. pod Brześciem litewskim. Oto co *Kuryer warsz.* opowiada: Nauczycielka objęła obowiązki w połowie października. W krótkim czasie zdołała przełknąć niezliczoną moc pigułek pogardy i obelg od

obojga von D. i dwóch swoich uczenic. Przy każdym obiedzie i kolacyi cierpliwie słuchała ubliżających swemu narodowi i całej rasie słowiańskiej zniewag. Wreszcie panna wybuchła gniewem, za co otrzymała od chlebodawcy policzek, a kijów uniknęła tylko dzięki wstrzymaniu wściekłego niemca przez domowników. Gdy pokrzywdzona zażądała koni, von D. odmówił, jak również wydania rzeczy i paszportu. Nieszczęśliwe dziewczę uciekło na wieś i nocowało w chacie włościańskiej, skąd wyprawiono ją do Brześcia odległego o 7 mil. Rozszalały szwab wysłał za nią list gończy, oskarżając ją o zbiegostwo i kradzież, oraz żądając aresztowania. Na szczęście brat pokrzywdzonej wezwany telegraficznie, przybył w sam czas. Gwałtownik został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej.

Lekarze nasi boją się prowincyi. Wielu z nich woli mieć kieszeń studencką, ale w mieście, zamiast obiecanych wygód na wsi. Nie dziwię się temu wobec faktu następnego. Konstantynów, osada pod Łodzią, licząca około czterech tysięcy ludności, sprowadziła sobie lekarza, któremu zobowiązała się płacić rocznie trzysta rubli. Za pierwszy miesiąc dano. Potem upłynął prawie rok cierpliwego oczekiwania. Nareszcie doktór musiał uciec się do... sądu. Przy takich miłych stosunkach nauka zapewne ustąpi miejsca domorosłej medycynie. Partykularz nie bardzo dba o swoje zdrowie i posiadanie jednostek inteligentnych. Radziłbym wszakże lekarzom nie zrażać się takimi wypadkami. Znam miejscowości Polesia, gdzie felczer panujący w promieniu kilkudziesięciu wiorst, zebrał już dziś tysiące, prawda, że nigdy z wozu nie zsiadł, a praktykę miał przeważnie śród włościan i ubogiej ludności żydowskiej. W tych samych stronach jest dwóch doktorów, którzy także zebrali tysiące, ale... jako handlarze leśni. Stróżami zdrowia są tam wyłącznie felczerzy, że zaś i tych za mało — cieszą się ogromnem powodzeniem czeredy znachorów.

Drogomir.

PRASA ROSYJSKA.

Birżewyja Wiedomosti (według *Gazety warsz.*) zamieściły następujący artykuł, noszący ślad pochodzenia od ministra skarbu.

„Dnia 21 października, w departamencie ekonomii Rady państwa, zaczęły się pod przewodnictwem p. A. Abazy narady o środkach, które proponuje p. minister skarbu, celem przywrócenia równowagi w budżecie państwa rosyjskiego, zachwianej od kilku lat z rzędu. Składając swe projekta finansowe pod rozwagę Rady państwa, *p. Wysznegradskij nie uważa za możliwe przedłużać systemu ukrywania prawdziwego stanu skarbu państwa i nazywać czasowem położeniem kłopotliwem tego, co nosi wszystkie znamiona prawdziwego przesilenia* (*krizisa*).

Za programu „zastoju czasowego“ wszystkie wskazówki na pożądaną potrzebę zmniejszenia wydatków państwa pozostawały tylko zwykłem upominaniem, i jeszcze w roku 1886, w roku najcięższego przesilenia, wydatki wszystkich ministeryów (z wyjątkiem ministeryum dworu Cesarskiego, spraw wewnętrznych, dóbr państwa, oraz kontroli państwa), przewyższały ostatecznie o dziesiątki milionów i bez tego powiększone preliminarze. Zmiana zaszła w ministeryum skarbu (mianowanie p. Wysznegradskiego, *P. R.*) pociągnęła za sobą, jak zwykle w takich razach bywa, dokładniejsze wyjaśnienie finansowego położenia państwa. *Niekrępowana żadnymi osobistymi widokami*, kontrola państwa zyskała możność okazania wyników finansowych w świetle, w jakiem rzeczywiście wystąpiły po ostatecznem obrachowaniu.

Wszelako jeżeli otrzymany tą drogą obraz był bardziej niż w inne lata opłakany, to przygnębiające (*tjażołoje*) wrażenie maleje dzięki świadomości, że niedobór za rok 1886 (*wynoszący 51.710.000 rub. w wydatkach i dochodach zwyczajnych, a pospołu z wydatkami nadzwyczajnemi 164,340,000 rub.*) jest owocem przeszłości, programu finansowego „chwilowych kłopotów.“

Dane te tłomaczą jednocześnie, dlaczego nowy minister skarbu, uznając istnienie ciężkiego przesilenia, nie widzi możności prowadzenia dalej systemu *laisser faire, laisser aller!...*

Obrachowane tymi dniami wyniki wykonania budżetu za r. 1886 wykazują, że wydatki zwyczajne wyniosły 832,290,000 rubli (o 16,350,000 rub. więcej niż przewidywano w preliminarzu), nadzwyczajne zaś wydatki 112,630.000 rub. (o 59,990,000 rub. więcej niż preliminowano), czyli *razem wydano 945,020.000 rub., preliminarz zapowiadał 868,689.000 rub. wydatków.* Na poczet powyższego rozchodu wydatkowano w ciągu 1885, 1886 i 1887 roku 859,200.000 rub., a 85,810,000 rubli pozostało jeszcze do wydania.

Do pokrycia rozchodu miano dochodów zwyczajnych 780,680,000 rub. (w tej liczbie i 10,130,000 rub. opłat celnych za lata 1881—1885, które były zapisane jako depozyt instytucyj celnych), nadzwyczajnych zaś 177,500.000 rub. (o 99,570,000 rub. więcej niż preliminowano), czyli razem 985,190,000 rubli.

Dochody nadzwyczajne były następujące: kontrybucya wojenna od Turcyi 1,530.000 rub. (mniej o 1,590.000 rub. niż przewidywał preliminarz); wkłady wieczyste do Banku Państwa 1.100,000 rnb. (więcej niż w preliminarzu o 350.000 rub.); zwrot zaliczeń od kolei żelaznych Południowo-Zachodnich 18,770,000 rub., od kolei Moskiewsko-Kurskiej 1,620,000 rub., od kolei Razańsko-Kozłowskiej 5,300.000 rub., od Towarzystwa Lilpop, Rau i Loewenstein 710,000 rub., razem 26.400,000 rub. (więcej niż w preliminarzu o 8,400.000 rub.); *realizacya konsolid 7-mej emisyi 20,000 rubli (mniej o 11,040,000 rub. niż w preliminarzu)*; realizacya pięcioprocentowej renty kolejowej na budowę kolei 98.440.000 rub. (więcej niż w preliminarzu o 53,440.000 rub,); *od Banku Państwa na poczet emisyi renty pięcioprocentowej w wysokości 36,000,000 rubli w złocie. 500,000 rub. (więcej niż w preliminarzu o 500.000 rub.* Zatem preliminarz tego dochodu nie przewidywał zgoła. *P. R.*).

Razem wpłynęło dochodów nadzwyczajnych 177,500.000 rub., czyli o 99,570,000 rub. więcej, niż przewidywano.

Po dołączeniu wpływów nadzwyczajnych, dochody państwa w r. 1886 dosięgają 958,190,000 rub. i przewyższają o 13,170,000 rub. ogół dokonanych wydatków.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Tania kuchnia (nr. 2), stołująca głównie studentów wywołała z ich strony w *Kur. warsz.* protest zarówno przeciwko wartości sprzedawanych obiadów, jak i przeciwko użytkowaniu przeznaczonego na ten cel zapisu Rapackiej. Autorowie odezwy twierdzą, że jadło jest liche i stosunkowo drogie, oraz że fundusz czcigodnej dobrodziejki wbrew jej woli nie służy ubóztwu kształcącej się młodzieży. Zarząd kuchni taniej po dwu tygodniach zaprzeczył tym twierdzeniom, ale — jak widzimy z przesłanej nam repliki studentów, której dla braku miejsca zamieścić nie możemy — słuszności swego postępowania nie dowiódł. Tak np. utrzymuje on, że „Rapacka nie ustanowiła żadnej kuchni, przeznaczonej wyłącznie dla uczącej się młodzieży i jeżeli *ktoś* wbrew zamiarom zarządu napisał *coś* o podobnej odrębności, była to jedynie zabawka.“ Otóż autorowie oskarżenia powiadają, że *ktosiem* była tu sama Rapacka, a *coś* znajduje się w jej testamencie. Pożądanem byłoby rozjaśnienie i sumienniejsze uporządkowanie tej sprawy.

Dr. Z. Rościszewski, docent instytutu weterynaryjnego w Dorpacie, zbudził śmiercią swoją żal w szerokich kołach. Ur. w r. 1846, ukończył gimnazyum w Suwałkach, a szkołę rolniczą w Pruszkowie. Działalność profesorską rozpoczął od katedry w Żabikowie, skąd go wraz z innymi rozkaz Bismarka wypędził. Następnie młody uczony przyjął docenturę prywatną przy uniwersytecie lwowskim, skąd przeszedł do Dorpatu. Jest on autorem wielu rozpraw rolniczo-handlowych, a obok uznania dla swej pracy zyskał szacunek dla swego charakteru.

Departament leśny obliczył dochody swoje w roku przyszłym na sumę 14 milionów rubli. Na urządzenie projektowanych szkół leśnych, lasów itd. wymagany jest kredyt 9 milionów.

Z Dorpatu. W dzienniku urzędowym gubernatora estlandzkiego ogłoszono rozkaz, zabraniający studentom noszenia po za obrębem miasta czapek kolorowych i wszelkiego odróżniających korporacye.

Znęcanie się. Przed sądem w Moskwie stawał właściciel zakładu naukowego, poddany szwajcarski, Samuel Loger, obwiniony o pobicie uczniów kijem i prętem żelaznym. Sąd skazał go na trzy dni aresztu.

Wyrok. W gub. penzeńskiej pow. insarskim, 14-tu włościan oskarżonych o morderstwo rządcy Stanisławskiego, sąd wojenny skazał na karę śmierci przez powieszenie. Obecnie wyrok złagodzono. Dwóch będzie straconych, innym zaś karę śmierci zmieniono na ciężkie roboty.

Ze Szląska. Na zebraniu Tow. przemysłowego w Opolu zastanawiano się nad pytaniem: w jaki sposób popierać niemczyznę na Górnym Szląsku? Dyrektor Schuman wniósł, aby założyć w Opolu stowarzyszenie, którego wszyscy członkowie zobowiązaliby się do rozmawiania ze swymi robotnikami i służbą tylko po niemiecku. Zwrócono uwagę na to, że nie należy działać ze zbytnim pośpiechem i że już z samych praktycznych względów nie zaleca się nakładać na chlebodawców obowiązku, aby z robotnikami, którzy często albo wcale, albo niewiele umieją po niemiecku, rozmawiali wyłącznie w tym języku.

Kredyt. Sprawa otwarcia kredytu dla właścicieli ziemskich w Królestwie Polskiem na sola-weksle z jednym podpisem, jest obecnie rozpatrywana w ministeryum skarbu.

W Mińsku Litewskim w roku przyszłym rozpocznie się budowa linij tramwajowych. Koncesyę na budowę otrzymał ten sam przedsiębiorca co w Wilnie, inżenier Gorczakow.

Grzebanie zmarłych. Władze policyjne w Warszawie otrzymały polecenie, aby rozciągały kontrolę nad wykonywaniem przepisu dozwalającego grzebania ciał nie prędzej, niż na trzeci dzień po zgonie. Od przepisu tego uchylają się najbardziej żydzi, którym rytuał nakazuje grzebanie zmarłych w dniu, w którym śmierć nastąpiła.

Kara. Sędzia pokoju w Łodzi skazał na sto rubli kary Gustawa Lorentza za to, że w fabryce jego znaleziono 6-u nieletnich, nieposiadających metryk i niezapisanych do ksiąg właściwych. Również za niestosowanie się do przepisów o pracy małoletnich robotników pociągnięto do odpowiedzialności sądowej Ungra w Łodzi i Stainera w Ząbkowicach.

W Berlinie przy uniwersytecie powstaje instytut, którego zadaniem będzie kształcenie w prawie rzymskiem kilkunastu prawników z Rosyi, stypendystów rządowych. Kierownikami zakładu będą profesorowie niemcy.

Wydział prasy ogłasza, że redaktorem *Russkiego Wiestnika*, wydawanego w dalszym ciągu przez wdowę po Katkowie, został Dymitr książę Certelew.

Zakaz. Z rozporządzenia wydziału prasy wydrukowano w Petersburgu spis utworów dramatycznych, zabronionych do grania w teatrach. Jest ich ogółem 1,249.

Wyjaśnienie. Departament lekarski wyjaśnił, iż doktorom służy prawo leczenia chorób zębów, chociaż nie posiadają dyplomów na praktykę dentystyczną.

Ograniczenie. Ministeryum oświaty odpowiedziało na odnośne zapytanie kuratora okręgu naukowego odeskiego, że przepisy o procentowem ograniczeniu żydów w uniwersytetach stosują się także i do wolnych słuchaczów.

Nad Bałtykiem. Kurator okręgu naukowego dorpackiego wydał nowy okólnik w sprawie zamykania szkół niższych przez organy samorządu miejscowego. Niektóre rady miejskie przestały wydawać zapomogi szkołom ludowym, w których zaprowadzono język ruski i które otrzymały nazwę szkół rządowych. Okólnik objaśnia, że miasta winny utrzymywać szkoły ludowe. — *Rigasche Zeitung* donosi, że korespondencya urzędowa pomiędzy pastorami luterańskimi a duchownymi innych wyznań w guberniach nadbal-

tyckich winna się odbywać jedynie w języku ruskim. Dotychczas dołączano do tej korespondencyi przekład niemiecki.

Żydzi. Wydany przez władze tureckie nakaz bezwarunkowego wydalenia z Palestyny wszystkich przybyszów żydów z Rosyi po 30-dniowym ich tam pobycie, wykonywany jest przez władze miejscowe z nieubłaganym rygorem. Trwoga i rozpacz panuje wśród wychodźców. Rabini palestyńscy ogłaszają przestrogi dla zdążających do ziemi obiecanej.

Cenzura paryzka zdjęła klątwę z „Germinala" Zoli w przeróbce scenicznej Busnacha z powodu zmian, przez samego autora w sztuce dokonanych.

Pomnik Heinemu. Rada miejska Düsseldorfu, rodzinnego miasta Heinego, postanowiła wznieść pomnik poecie i w tym celu wystosowała odezwę do publiczności z prośbą o składki.

Buddyzm. Pani Bławacka, znana teozofistka, wprowadziła do Paryża propagandę buddyzmu. Niezadługo przystąpią tam do budowy świątyni dla wyznawców tej wiary.

W Czerniejewie odbyły się niedawno wybory delegata do sejmiku powiatowego. Niemieccy członkowie rady gminnej, która dokonywa wyboru, z uderzeniem godziny oznaczonej dopełnili aktu, a gdy w pięć minut potem nadeszli wyborcy polscy, nie mieli już nic do roboty. Przeciwko temu bezprawiu wniesiono protest. Rząd wybór unieważnił.

Majątek ziemski Staniszewo pod Środą, z rąk niemieckich nabył polak p. Niczke.

Zastrzeżenie. W świadectwach nauczycielskich żydówkom dodawane jest zawsze oświadczenie, „ażeby w razie nauczania dzieci prawosławnych nie wykładały im zasad, sprzeciwiających się nauce cerkwi prawosławnej." Obecnie kurator okręgu naukowego odeskiego polecił, aby taką uwagę zamieszczano także w świadectwach nauczycielek innych wyznań.

Raport, złożony przez naczelnego prokuratora synodu z czynności kościoła prawosławnego, zawiera szczegóły w sprawie wzmacniania prawosławia. Między innemi poruczono władzom policyjnym i wydziałowi cenzury czuwać, iżby innowiercy nigdzie zgoła nie ujawniali pogardy względem kościoła i wyznania prawosławnego, tudzież nie rozpowszechniali pomiędzy ludem pism i druków w tym duchu. Wyrażono życzenie, aby na nauczycieli i nauczycielki szkół ludowych przyjmowane były osoby wyłącznie prawosławne i aby także osoby ile możności wybierano na przełożonych, przełożone, nauczycieli i nauczycielki w świeckich niższych i średnich zakładach naukowych. Z tego powodu Najjaśniejsza Pani najwyżej rozkazać raczyła ograniczenia te zastosować do zakładów naukowych, zostających pod zwierzchnictwem zarządu instytucyi Cesarzowej Maryi. Wyjątek w tym względzie zastrzeżono dla nauczycieli religii innych wyznań i dla wykładających obce języki. Część raportu kończy się temi słowy: „Ministeryum oświaty wyjaśniło, że wobec zapadłego w r. 1868 Najwyższego rozkazu, mocą którego osoby wyznania rzymsko-katolickiego nie mogą być przyjmowane na żadne urzędy w zakładach naukowych, z wyjątkiem okręgu warszawskiego i dorpackiego, oraz rozporządzenia ministerstwa z r. 1866, wzbraniającego zwierzchności okr. naukowych mianować na posady nauczycielskie w szkołach ludowych osoby nieprawosławne, kuratorowie okr. naukowych zawsze starali się wybierać na posady zwierzchników i nauczycieli osoby, odznaczające się religijnością i gorliwością w stosunku do kościoła prawosławnego."

Wynalazek. Prof. Instytutu górniczego w Petersburgu, inż. górn. Wojsław, polak, przedstawił Towarzystwu technicznemu wynaleziony przez siebie świder ręczny do badania pokładów ziemi na głębokości 60 stóp.

Legat. Uniwersytet moskiewski otrzymał legat 5,000 rs., zapisany przez prowizora Jurgiewicza. Odsetki będą używane na wpisowe lub nagrody dla biednych studentów, przedewszystkiem dla urodzonych w Wilnie. Zapis przyjęto za zezwoleniem Najwyższem.

Policmajster odeski zwrócił się do wszystkich instytucyj rządowych i społecznych z żądaniem, aby mu dostarczono wiadomości o osobach, które przez stopień wykształcenia i położenie towarzyskie mIałyby prawo zająć wyższe stanowiska w pospolitem ruszeniu.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Ноября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.